Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 40 — Niedziela, dnia 3 października 1926 roku — Rok 2

Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 85
Telefon Nr. 45-50
Godziny przyjęć: od 5—7 ppoł. prócz niedziel i świąt
Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

Przedstawicielstwa Redakcji i Administracji:
w WARSZAWIE: Alfred Wilecki, Wilcza 16, tel. 305-07
w POZNANIU: Jan Kozubski, Skarbowa 7, tel. 28-58

PRAWDA

Cena egzemplarza 30 groszy
W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące
Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

TREŚĆ NUMERU:

CO SIĘ STAŁO?
CO MOŻE BYĆ?
NOWY RZĄD.
PRACA.
NIE TĘDY DROGA. — P. Z.
NA PRZEŁOMIE. — W. E. Zieliński.
NOWY KATECHIZM JUTRA. — Inż. Henryk Koźmian.
NA KRESACH. — A. S.
EUROPA ŚRODKOWA A POLSKA. — Wład. Studnicki.
LIST Z LONDYNU. — Stefan Kleczkowski.
FETYSZ POLITYCZNY. — Z. Straszewicz.
RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. — Awil.

Sprawy tygodnia

CO SIĘ STAŁO?

Dla zrozumienia wypadków, które rozegrały się w ostatnim tygodniu na terenie sejmowym i jakie rozegrają się w najbliższych dniach, a może nawet godzinach, przedstawiamy przedewszystkiem chronologiczny ich rozwój.

Zatarg, jaki wybuchł pomiędzy rządem i sejmem, ma charakter otwartej walki, zmagania się aż do całkowitego zwycięstwa jednej lub drugiej strony, walki, w której zawarcie pokoju na zasadzie jakiegoś kompromisu nie jest możliwe, gdyż albo dla jednej, albo dla drugiej strony wszelki kompromis oznaczałby zupełną klęskę.

Walkę wypowiedział sejm jako korporacja, jako całość, zagrożona w swej egzystencji w dotychczasowej formie a w sukurs przyszedł senat.

Pierwsze kroki nieprzyjacielskie rozpoczął sejm we środę, dnia 22 września. W tym dniu komisja budżetowa sejmu większością głosów przyjęła wniosek posła Żdziechowskiego o skreślenie z budżetu, zaproponowanego przez rząd na czwarte ćwierćrocze, kwoty 37 miljonów złotych i zezwolenie rządowi na wydatkowanie w tem ćwierćroczu tylko 450 miljonów złotych.

Niezależnie od tego klub Chrześc. Demokracji zgłosił wniosek o wyrażenie nieufności ministrom Młodzianowskiemu i Sujkowskiemu.

Rząd postanowił nie wchodzić w żadne pertraktacje z sejmem i pozostawić obie sprawy swobodnemu rozwojowi. Oświadczono jednak wyraźnie, że na zmniejszenie cyfry wydatków rząd pod żadnym warunkiem się nie zgodzi i w razie zatwierdzenia przez sejm uchwały komisji, wyciągnie z tego konsekwencje. Co do wniosku drugiego, rząd żadnego oświadczenia nie uczynił.

Na posiedzeniu sejmu, w piątek 24 września, wniosek komisji o skreślenie 37 miljonów z budżetu odrzucono i budżet przyjęto według wniosku rządowego.

Zdawało się, że przez to zatarg został zlikwidowany. W tym samym jednak dniu marszałek sejmu zwołał drugie jeszcze posiedzenie i na tem posiedzeniu bez poprzedniej dyskusji poddał pod głosowanie wnioski klubu Ch. D. o wyrażenie nieufności wspomnianym dwom ministrom. Wnioski te zostały uchwalone.

Premjer Bartel, stojąc na stanowisku, że rząd, który do władzy doszedł po wypadkach majowych, nie jest radą ambasadorów stronnictw sejmowych, z których każdy działa przedewszystkiem na zasadzie wskazówek swoich mocodawców, a zupełnie drugorzędną sprawą jest dla niego stosowanie się do reprezentującej interes państwa polityki rządu jako całości, lecz gronem współpracowników, przez niego wybranych, zgodnie z nim pojmujących interes państwa i pracujących każdy w swoim zakresie, ale według jednego planu i pod jednem kierownictwem, votum nieufności dla dwóch swoich współpracowników przyjął jako votum nieufności dla całego rządu i zgłosił prośbę o dymisję.

Prezydent Rzeczypospolitej dymisję przyjął a formowanie nowego gabinetu poruczył ponownie prof. Bartlowi.

* * *

Rząd, który po wypadkach majowych doszedł do władzy, nie ogłosił pełnego programu swej zamierzonej działalności. Rzucił tylko szereg haseł, odkładając zajęcie wyraźnego stanowiska w sprawach, podawanych w społeczeństwie za najważniejsze, na później. Musiał tak uczynić, gdyż chciał przestrzegać przepisy konstytucji, rezygnując z dyktatury. Stojąc zaś na stanowisku konstytucji, żaden rząd nie może rozwijać szczegółowego programu, nie mając zapewnionej większości w sejmie. Tembardziej nie mógł tego uczynić rząd prof. Bartla i marszałka Piłsudskiego, który doszedł do władzy, wypowiadając wojnę partyjnictwu rozpanoszonemu w sejmie. Przeciw każdemu programowi miałby zacięty opór tego partyjnictwa, które nie wahałoby się zbałkanizować społeczeństwa, aby tylko nie dopuścić do realizacji programu rządowego.

Dlatego rząd, niechcąc dać żeru agitacji partyjnej w społeczeństwie, rzucił tylko szereg haseł, co do których w społeczeństwie panuje zgodna opinja, nie określił jednak bliżej metod swego postępowania.

Ale jedno hasło rozwinął całkowicie. Hasło uniezależnienia władzy państwowej od władzy ustawodawczej. Program rządu zmierzający do realizacji tego hasła został szczegółowo opracowany i sejm, aprobując zmiany w konstytucji, tem samem zgodził się na ten program. Sejmowi odebrany został wpływ na tworzenie gabinetu i na jego skład osobowy. W przyszłości miał mieć do czynienia z rządem jako całością, a raczej tylko z premjerem, który przed sejmem odpowiada za politykę rządu. Przepis konstytucji, że również każdy minister oddzielnie odpowiada za swoją działalność i ustępuje na życzenie sejmu nabrał zgoła innego znaczenia, czysto prawnego a nie politycznego. Stał się podstawą do istniejącej ustawy o trybunale stanu, a nie do ingerencji sejmu w zakres dyktowanej przez gabinet polityki poszczególnych ministrów.

Tego jedynego wyraźnego szczegółu swego programu premjer Bartel zdradzić nie mógł ani wykrzywić. Dlatego też sformował gabinet w tym samym składzie. Podał się do dymisji, respektując wolę sejmu, ale stanął ponownie przed sejmem z tym samym gabinetem. Tem samem dał wyraźnie do zrozumienia sejmowi, że ukrytej walki rząd nie przyjmie i każdą próbę narzucenia mu takiej walki odeprze. Jeśli sejm niezadowolony jest z rządu, niechaj ma odwagę objawić to wyraźnie i niechaj zażąda dymisji całego gabinetu.

* * *

Sejm nie zdobył się na taki otwarty atak. Zwrócił się o pomoc do senatu. Korzystając ze zbiegu okoliczności, że ze względu na prowizorjum budżetowe posiedzenie senatu musiało się odbyć przed posiedzeniem sejmu, na którem miał się przedstawić nowy rząd, senat odrzucił przyjęty przez sejm budżet i przyjął zkolei odrzucony przez sejm wniosek o skreślenie z budżetu 37 miljonów złotych. W myśl konstytucji ustawa budżetowa musiała teraz wrócić do sejmu. Sejm mógł albo odrzucić poprawkę senatu i utrzymać w mocy swoją własną uchwałę, albo też poprawkę senatu przyjąc i w ten sposób pośrednio, unikając otwartego wyrażenia rządowi nieufności, zmusić gabinet do dymisji.

Oczywiście sejm wybrał pierwszy sposób. Przekreślił to, co parę dni temu sam uchwalił, i zatwierdził to, co parę dni temu odrzucił.

Rząd, szanując swoje pierwsze oświadczenie, że na redukcję budżetu się nie zgodzi i wyciągnie z ewentualnej takiej uchwały konsekwencje, podał się drugi raz do dymisji.

* * *

CO MOŻE BYĆ?

W chwili, gdy to piszemy, nic się jeszcze nie stało, co pozwalałoby wnioskować o kształtowaniu się wypadków w najbliższej przyszłości.

Pewnem jest jedno: następnego rządu nie będzie tworzyć prof. Bartel, gdyż tym razem cały rząd, za który on ponosił odpowiedzialność, otrzymał od sejmu votum nieufności w postaci odrzucenia budżetu. Prof. Bartel tym razem nie stanie już przed sejmem.

Pozostaje rozwiązanie sejmu. Ale aby sejm rozwiązać musi być utworzony najpierw nowy rząd, gdyż rada ministrów w stanie dymisji nie może uchwalać wniosku o rozwiązaniu sejmu.

Kto jednak stworzy nowy rząd?

Zdaniem naszem pozostała tylko jedna ewentualność: rząd Marszałka Piłsudskiego.

* * *

Sytuacja po stronie sejmu wyjaśniła się zupełnie. Na jakąkolwiek współpracę sejmu obecnego liczyć nie może rząd, który tak wyraźnie dał do zrozumienia, że na serjo pojmuje walkę z partyjnictwm i że pod żadnym pozorem, nawet dla ratowania swej egzystencji, nie zgodzi się na mieszanie się sejmu do działalności rządu.

Takie stanowisko rządu może przy najbliższych wyborach zadać śmiertelny cios najpotężniejszym nawet partjom a zmieść z powierzchni wszystkie, sztucznie w przesyconej korupcją atmosferze kuluarów sejmowych wyhodowane, partyjki i kliczki.

Jedynem więc dążeniem sejmu, jako całości, musi być dążenie za wszelką cenę i kosztem każdego interesu, nawet najelementarniejszego interesu państwa, do skompromitowaniu rządu, do oczernienia go w masach społeczeństwa, które rychło już może w głosowaniu wyborczem będą miały sposobność zadeklarowania się po jednej lcb drugiej stronie: po stronie rządu lub po stronie partji.

Każdy projekt rządowy, każdy jego krok, każde pociągnięcie w polityce wewnętrznej i zagranicznej, przedstawiane będą zarówno z trybuny sejmowej jak i na wiecach i w prasie, jako skierowane czy to przeciw pewnym klasom społecznym, czy przeciw aspiracjom narodowym, czy wreszcie przeciw państwu.

Rząd będzie zwalczany z całą bezwzględnością i przy pomocy całego arsenału demagogji. Sędzią przecież ma być społeczeństwo, liczące 60 proc. analfabetów, przystępnych wszelkiej demagogji i wszelkim podejrzeniom i insynuacjom.

W takiej chwili na czele rządu musi stać osobistość, która przedstawia sobą tak wielki kapitał zaufania tych mas, że nie przyniosą mu poważniejszej straty manewry wszystkich innych drobnych kapitalików, nawet razem wziętych, podejmowane na giełdzie przedwyborczej.

Taką osobistością w chwili obecnej jest tylko Marszałek Piłsudski. Rząd, na którego czele on stanie, trudno będzie oczernić w społeczeństwie.

* * *

Z rozwiązaniem sejmu liczyć się należy poważnie. Trudno przypuszczać, by Marszałek Piłsudski, jako szef rządu, chciał narażać się na takie same przejścia, jakich doświadczył w ostatnich kilku dniach prof. Bartel. Wreszcie byłoby nonsensem dalsze tolerowanie trybuny sejmowej, jeśli niewątpliwem się stało, że używana będzie tylko do walki z rządem i do przygotowań wyborczych.

Nadeszła chwila, gdy do głosu dopuścić należy społeczeństwo. Odwlekanie tej chwili może pociągnąć za sobą fatalne następstwa. Sejm, gdy przestał być reprezentacją społeczeństwa i wyrazicielem jego woli, może być tylko czynnikiem bałkanizującem społeczeństwo, czynnikiem wprowadzającym zamęt i chaos do pojęć i sądów ludności.

Dalsze tolerowanie tego sejmu, zwłaszcza przez Marszałka Piłsudskiego, musi siłą rzeczy obudzić nieufność i niepewność w masach, skłonnych do podejrzliwości. Ludzie zadawać będą sobie pytanie, dlaczego Piłsudski sejmu nie rozwiązuje, jeśli przekonany jest o jego szkodliwości? Odpowiedz na takie pytanie bardzo chętnie dawać będzie agitacja partyjna.

Nawet wzgląd na niekorzystny termin wyborów, które wypadłyby w styczniu, nie powinien powstrzymać rządu od rozwiązania sejmu. Z chwilą, gdy rozwiały się wszystkie nadzieje na współpracę sejmu z rządem, w którym zasiada Marszałek, żaden wzgląd nie może wpłynąć na odroczenie chwili rozwiązania sejmu. Mniejszem złem będzie nieprzewidziane w konstytucji przesunięcie terminu wyborów i przekroczenie zakreślonej granicy 90 dni, niż ryzykowanie nowej serji targów i zatargów między rządem i sejmem. Tembardziej, że tematy do efektownych dla sejmu zatargów są na porządku dziennym.

* * *

NOWY RZĄD.

W ostatniej chwili nadchodzi wiadomość, że Prezydent Rzeczypospolitej misję tworzenia gabinetu powierzył Marszałkowi Piłsudskiemu.

W składzie gabinetu zmiany poważniejsze nie zajdą. Jako nowi ludzie wymienieni są w chwili, gdy „Prawda" idzie na maszyny p. Meysztowicz, gen. Składkowski-Sławoj oraz znany czytelnikom „Prawdy" z szeregu drukowanych w niej swoich artykułów p. Karol Niezabytowski, który objąłby tekę rolnictwa. Gen. Składkowski zastąpiłby min. Młodzianowskiego a p. Meysztowicz objąłby tekę sprawiedliwości. Inne teki — oprócz oświaty, co do której niemamy jeszcze wiadomości — pozostałyby bez zmiany.

Prof. Bartel objąłby funkcje wicepremjera bez teki.

W ten sposób oblicze rządu w niczem się nie zmieniło, a nawet i w wewnętrznej organizacji gabinetu nie zaszłyby zmiany, gdyż czynności urzędowe premjera w dalszym ciągu spełniałby prof. Bartel. Natomiast na zewnątrz rząd obecny zyskał ogromnie na sile. Marszałek Piłsudski stał się bowiem oficjalną i widoczną jego głową.

Byłoby to więc tylko taktyczne przegrupowanie do decydującego uderzenia.

* * *

EKSPORT WĘGLOWY.

Przed tygodniem zajęliśmy na tem miejscu stanowisko do postępowania kopalń górnośląskich, napiętnowanego w komunikacie Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Czyniliśmy to w pełnem zaufaniu do ministerstwa, że nie podjęłoby ono kroku tak ważkiego i tak bezprzykładnego w dziejach, gdyby nie było w posiadaniu materjału dowodowego, ponad wszelką wątpliwość kopalnie obciążającego. Tylko to, jak również wyczerpanie wszelkich innych sposobów interwencji bezpośredniej, tłumaczyć mogło krok ministerstwa, które swem publicznem potępieniem dało jednocześnie wyraz powszechnemu w Polsce i właściwemu również sferom rządowym poglądowi na podstawy i nakazy obowiązującej etyki handlowej.

Jeżeli jednak jest inaczej, jeżeli ministerstwo w łatwowierności swej wobec obcych oskarżeń posunęło się tak daleko, nie zbadawszy istoty sprawy, to zamiast obrońcy opinji polskiej przed światem stało się niesprawiedliwym oskarżycielem polskiego świata handlowego.

Kopalnie górnośląskie publicznie wezwały ministerstwo do wyjawienia faktów konkretnych, na jakich oskarżenie swe oparło. Jeżeli nie dowiemy się o całkowicie zadowalającej odpowiedzi ministerstwa na tę interpelację, to pozostanie nam już tylko, bez ogródek i okoliczności łagodzących, utrzymać naszą charakterystykę komunikatu tego z przed tygodnia, jako dokumentu, pod wieloma względami jedynego w swoim rodzaju.

NIE TĘDY DROGA

Po niespodzianek pełnej dyskusji w sejmie nad prowizorjum budżetowem na IV-ty kwartał b. r. i po jeszcze sensacyjniejszem głosowaniu nad wnioskami o wyrażenie votum nieufności ministrom Młodzianowskiemu i Sujkowskiemu, dały się słyszeć w prasie, mającej reprezentować nowy twórczy czynnik w naszem życiu państwowem: ideę polskiej demokracji, przeczuwanej raczej niż istniejącej, a już sprawującej rządy, bardzo charakterystyczne głosy.

Herołdowie tej demokracji, tego niemowlęcia, mocującego się w kołysce z hydrą partyjnictwa, w przystępie pesymizmu, już dzisiaj szukają dla niej sojuszników, jakby się obawiali, że sama nie zdoła — gdy wyrośnie i sił nabierze — wykonać, czekających na nią ciężkich, herkulesowych robót.

Ludzie dnia wczorajszego, wyrośli w jego zatrutej atmosferze, pełni wczorajszych kłótni i nienawiści, wczorajszego światopoglądu, już teraz pragną przeszachrować nową, wstępującą na widownię siłę, aby wzamian otrzymać zaspokojenie tych samych ambicyj, dla których dobro narodu i państwa poświęcali wczorajsi prowodyrowie partyj.

Z faktu, że w szeregach opozycji znalazł się klub Chrześcijańsko - Narodowy, reprezentujący wielką produkcję rolną i klub Chrześcijańskiej Demokracji, którego członkiem jest poseł Korfanty, reprezentujący osobiście interesy górnośląskiego przemysłu węglowego, a raczej pewnej grupy tego przemysłu, wyciągnięto jako konsekwencję konieczność oparcia się rządu na **klasie** pracującej i sprzymierzenia się z tą klasą przeciw t. zw. **klasom** posiadającym, a w szczególności przeciw „lewiatanom" produkcji przemysłowej.

Rząd najwidoczniej uznał tę konieczność. Akcja ministerstwa przemysłu i handlu przeciw przemysłowi węglowemu, stanowisko ministerstwa pracy i opieki społecznej w zatargach podwyżkowych w innych gałęziach produkcji — nakazują w to wierzyć.

* * *

Czemu rząd zawdzięcza swoją popularność w całem społeczeństwie — popularność — że się tak wyrazimy — międzyklasową? Niczemu innemu jak tylko zapowiedzi, że jedyną jego troską będzie zapewnienie dobrobytu wszystkim warstwom społeczeństwa. Inne zapowiedzi, jak zapowiedź walki z korupcją i nadużyciami, walki z partyjnictwem i nieprawością przyjęte zostały jako objaśnienie niektórych metod, któremi posługiwać się będzie rząd, aby osiągnąć cel główny: podniesienie dobrobytu wszystkich warstw. Zapowiedź ta przyjęta została z pełną wiarą, padła bowiem w chwili największego upadku ducha a wypisali ją na swoich sztandarach ludzie, którzy w oczach społeczeństwa w niczem jego nędzy nie zawinili, a co najważniejsze — sztandary z tą obietnicą uznał za swoje człowiek, od którego masy instynktownie spodziewały się ratunku w chwili największej biedy.

Kto wsłuchiwał się w szmery i tętno mas, stanowiących rdzeń i kościec społeczeństwa, a nie w gorączkowe majaczenia zwyrodniałych kończyn, ten nie słyszał w maju nic innego, oprócz głębokiego westchnienia ulgi i pełnego nadziei akordu: „będzie lepiej!"

Ta wiara trwa dotychczas i przeciw niej kierują się rozpaczliwe wysiłki niezduszonego jeszcze partyjnictwa.

* * *

Źródłem dobrobytu jest produkcja przemysłowa, bo powiększa ilość dóbr, stanowiących dobrobyt, a podstawą produkcji praca. Przemysł jest tem cudownem narzędziem, które pracę ludzką i bogactwa natury przetwarza na dobrobyt. Przeciw produkcji dóbr powstaje mniej lub więcej skrycie wszystko, co panowanie swoje, swoją potęgę, władzę i wpływy opiera na niezadowoleniu mas, płynącem z nędzy, bo innego źródła powszechnego niezadowolenia niema.

Przemysł, to nie kapitał, to nie sztaby zimnego złota, ukryte w piwnicach, ani polip, który ssie krew i pot proletarjatu, to najcenniejszy pierwiastek w społecznym związku, to soczewka, która skupia w sobie słabe i rozstrzelone promienie pracy ludzkiej i zwraca je społeczeństwu w postaci życiodajnego strumienia dobrobytu.

Przemysł może być tylko narzędziem do osiągnięcia i pomnażania dobrobytu — wszelkie próby posługiwania się nim do innych celów: do osiągnięcia władzy, wpływów politycznych i panowania nad społeczeństwem, kończą się katastrofą: soczewka się tłucze, a praca — jak energja elektryczna, bez transformatora — staje się dynamitem, rozsadzającym ustroje społeczne i państwowe.

Przemysł jako źródło dobrobytu jest podstawą demokracji. Bez dobrobytu powszechnego niema prawdziwej demokracji, a jest walka klas, łupiestwo i tyranja — albo jak się teraz mówi „zdobycze" klasy zwycięskiej.

* * *

Młoda demokracja polska walczy obecnie z hydrą partyjnictwa, aby oczyścić drogę, po której chce wieść społeczeństwo do dobrobytu, który ma w niem zapłodnić siły do spełnienia czekającej na nie misji dziejowej i cywilizacyjnej. Partyjnictwo polskie wyrosło na gruncie klasowym. Czynnikiem rozkładowym był i jest socjalizm, dążący do dyktatury jednej klasy. Kto w tej walce demokracji z partyjnictwem podsuwa demokracji broń socjalną, działa na jej szkodę i gotuje jej klęskę.

Rząd obecny sprzymierzeńców wśród klasowych partyj robotniczych nie znajdzie, bo jest ich konkurentem w walce o wpływy wśród mas robotniczych. A w masach robotniczych także nie znajdzie wielu zwolenników, jeśli dotychczasowe hasło dobrobytu zamieni na jeszcze jedną odmianę programu walki klasowej.

Jeśli się rzuciło hasło dobrobytu dla **wszystkich** klas społeczeństwa, o walce klasowej nie może być mowy. Trzeba dobrobyt **tworzyć**, bo zdobyć go w walce klasowej dla wszystkich nie podobna, zwłaszcza w Polsce, zubożałej i wyczerpanej.

A tworzenie dobrobytu to praca ciężka i żmudna a w dodatku niewdzięczna w początkach i niepopularna. Trzeba zacisnąć zęby i pracować, czasem o głodzie i chłodzie. Młoda rządząca demokracja polska musi zdobyć się na nakazanie społeczeństwu takiej pracy, a jeśli potrzeba musi zmusić je do niej. Jeśli tego nie uczyni, zniknie z powierzchni, utonie w wirze niezadowolenia i rewolucji społecznej.

* * *

Zyski przemysłu nie mogą kłuć w oczy młodej naszej demokracji, tkwiącej jeszcze jedną nogą w światopoglądach klasowych, wiedzącej o tem, że „królowa Bona umarła", ale uważającej jeszcze za niewczesny żart twierdzenie, że umarł także i towarzysz Marks. Bo dużo i wiele musi zarabiać przemysł polski, aby świat zapomniał o jego wielkich stratach i w te zyski uwierzył. Narazie przynajmniej najbardziej przesadne denuncjacje o zyskach przemysłu nie przemówiły do przekonania ani jednemu kapitaliście zagranicznemu i nie skusiły go do uczestniczenia w tych bajecznych zyskach i sfinansowania jakiegoś nowego zakładu produkcji przemysłowej w Polsce na warunkach przemysłowych a nie giełdowych, t. j. przez budowę zakładów i wyposażenie ich w kapitał obrotowy a nie przez spekulacyjne kupno lub emisję akcyj.

Należy również pamiętać o tem, że zysk to narastanie nowego kapitału, zaczyn nowej placówki pracy przemysłowej, nowa możność przetwarzania pracy na dobra. Gdy przemysł zacznie osiągać zyski, to przemysłowcy przestaną kapitały ukrywać zagranicą — a jeśli je tam mają, to je sprowadzą do kraju. Wreszcie zyski przemysłu stanowią gwarancję dobrobytu robotnika, bo robotnik jest także i nabywcą wyrobów przemysłu i przemysł bardziej zainteresowany jest w tem, by robotnik mógł nabywać jak najwięcej wytwarzanych dóbr, niż dotychczasowi jego rzecznicy, obrońcy i przywódcy.

Należy również wyzbyć się obaw, że budżet państwa obalą zyski przemysłu. Jeśli z tego powodu budżet straci chwilowo równowagę, będzie to tylko pocieszającym objawem. Z takich kłopotów chętnie nas któryś z przyjaciół wybawi. Będzie to kłopot bogatego, który wsiadł do tramwaju a drobne zostawił w domu. Napewne nie wyrzucą go z wagonu.

P. Z.

NA PRZEŁOMIE

Horoskopy na przyszłość naszego bilansu handlowego.

Pan minister skarbu w przemówieniu swojem przedstawił, że bilans handlowy czynny trwa przeszło od roku i za okres od 1.9. 1925 do 31.8. 1926 roku wykazał nadwyżkę wywozu nad przywozem w wysokości 504 milj. zł. kruszcowych.

Jest to objaw nader pocieszający, ale, aby wolno było przypuszczać, że ma on i nadal widoki stałości, należy zbadać, jak się kształtował i na czem polegał.

W pierwszym miesiącu dodatniego bilansu handlowego, t. j. we wrześniu 1925 roku nadwyżka wyniosła 36 milj. zł. kruszcowych, w następnych dziewięciu miesiącach nastąpiła dalsza zwyżka i przeciętna nadwyżka miesięczna wynosiła 42 milj. Rekordowemi były miesiące: styczeń r. b., który wykazał 65 milj. i miesiąc lipiec z 55 milj. zł. krusze. nadwyżki eksportu. W sierpniu r. b. nadwyżka ta spadła do 36 milj. złotych kruszcowych.

Aktywność naszego bilansu wynikła prawie wyłącznie *skutkiem ograniczenia przywozu*, wywołanego pauperyzacją kraju i spadkiem kursu złotego; przepisom policyjnym regulującym import nie przypisują żadnej wagi.

Celem należytego uzasadnienia tego twierdzenia, przytaczam poniżej zestawienie w miljonach złotych kruszcowych naszych bilansów:

	Przywóz	Wywóz	Niedobór lub nadwyżka
za 1924 r.	1478	1266	— 212
za okres 1.9. 1925 do do 31.8. 1926	750	1254	+ 504

W 1924 roku przywóz wynosił przeciętnie *123,2, wywóz zaś 105,5 milj. zł. kruszcowych* miesięcznie; *w okresie zaś* 1.9. 1925 — 31.8. 1926 *przywóz 62.5, wywóz zaś 104,5 milj. złotych kruszcowych* miesięcznie.

Widzimy więc, że pomimo wzmożonego eksportu węgla w ostatnich trzech miesiącach, jak również i produktów naftowych oraz pomimo wywiezienia w tym okresie 7,4 miljonów kwintali zboża, *ogólna wartość wywozu była o 12 milj. zł. kruszcowych mniejsza aniżeli w 1924 roku.*

Przywóz spadł najniżej w miesiącu lutym r. b. (46 milj. zł. kruszc.), poczem zaczął się z pewnemi wahaniami podnosić i w miesiącu sierpniu zbliżył się do 100 miljonów zł. kruszc. — Tę normę miesięczną przywozu na następny okres i przy obecnym parytecie złotego należy uważać za normalną. Wobec niej przypuszczalne cyfry naszego wywozu nie przedstawiają się bynajmniej w różowem świetle.

Na wywóz poważniejszych ilości zboża liczyć nie możemy, bowiem według dotychczasowych danych Gł. Urzędu Stat. *zbiory pszenicy i żyta nie są dostateczne dla wyżywienia ludności Polski.* Da się to tembardziej odczuć, że według informacyj pochodzących z organizacyj rolniczych w Poznańskiem (dzielnicy o wybitnej hodowli kartoflanej) *sprzęt tegoroczny ziemniaków spodziewany jest o 25—30 procent poniżej normalnego.*

Jak dalece rozbieżne są obliczenia nadwyżki wywozowej zboża, wykazała nam polemika prowadzona w początkach tego roku na łamach „Przeglądu Gospodarczego" przez dwie powagi w tej dziedzinie p. E. Sturm de Strema i p. St. Królikowskiego, nacz wydz. ekonomicznego Min. R. i D. P.

Panowie ci przyjmują zgodnie dane Gł. Urzędu Stat., dotyczące sprzętu i wysiewu, pod względem jednak obliczenia spożycia różnią się tak dalece, że na rok 1925/6 przewidywali nadwyżkę eksportową w wysokości:

	Pszenicy	Żyta	Jęczmienia	Owsa
p. Sturm de Strem	560	5,200	1,373	240 tys. q.
p. Królikowski	1,244	14,783	3,062	3,872 tys. q.
faktycznie wywieziono	1,192	3,373	1,684	884 tys. q.
Gł. U. St. wykazuje jako remanent na 1926/7 r.	300	3,600	150	1,000 tys. q.

Według danych G. U. S. (będą one raz jeszcze skorygowane w końcu roku), urodzaj tegoroczny jest o 16 milj. q. mniejszy, aniżeli w roku poprzednim (w roku zeszłym eksportowano zboża ogółem tylko 7,1 miljonów q.); jęczmień i owies nie przedstawiają jaskrawych różnic i wywóz 2,5 milj. q. tych zbóż uważam za możliwy, natomiast w stosunku do spożycia urodzaj tegoroczny pszenicy jest o 817 tys. q, — żyta zaś o 3988 tysięcy q. niewystarczający. Pozostaje wprawdzie remanent z roku zeszłego, lecz właśnie co do pszenicy i żyta uważam go za zbyt wygórowany w obliczeniach Gł. Urzędu Stat. — Uznajemy bowiem wszyscy za pewnik, że wobec ceł prohibicyjnych niemieckich i naszej opłaty wywozowej od pszenicy, *te dwa gatunki zbóż przesiąkały stale i wszędzie przez całą naszą „zieloną" granicę z Niemcami*, a to stanowiło ilości bardzo poważne, nieuwzględnione przez urzędową statystykę. — Pozatem, gdyby u nas w kraju pozostawało 3600 tys. q. żyta, t. j. więcej aniżeli go wyeksportowano legalnie przez cały rok, czyżby było możliwe, aby ten gatunek zboża osiągnął w miesiącu sierpniu tak wysoką cenę jak notowano?

Jakiekolwiek zakazy są zbyteczne, bowiem życie samo jest najlepszym regulatorem. Kiedy ceny z końcem sierpnia zwyżkowały i przekroczyły możliwą kalkulację eksportową, to spostrzegamy zaraz w pierwszej dekadzie miesiąca września r. b., że wywieziono zaledwie jedną dziesiątą tej ilości, co w miesiącu sierpniu.

Zatem aktywność naszego bilansu jest obecnie ściśle związana z wywozem węgla (obecny bowiem eksport wyrobów włókienniczych należy uważać za sezonowy). Gdy bowiem wywóz węgla zmniejszy się z chwilą wygaśnięcia strejku w Anglji do uprzednich norm, t. j. do 600 tysięcy tonn miesięcznie, stanowić to będzie zmniejszenie się strony czynnej naszego miesięcznego bilansu handlowego o 30 milj. zł. kruszcowych; zaprzestanie zaś wywozu pszenicy i żyta wywrze zniżkę w stosunku do eksportu z miesiąca sierpnia r. b. o dalsze 7 milj. zł. kruszcowych, co zniweczy dotychczasowe nadwyżki bilansowe.

Dla powyższych względów skłaniam się raczej do zdania prof. Kemmerera, że *„naród Polski powinien zacisnąć zęby i pracować"*, aniżeli do łagodnego optymizmu przebijającego w ostatniem exposé p. ministra skarbu.

W. E. Zieliński.

PRACA

Kiedy w początku roku klęska bezrobocia przybrała rozmiary zastraszające, głównem zagadnieniem, absorbującem umysły zarówno rządu, jak i przemysłu i sfer robotniczych, było wzmożenie zatrudnienia. Ówczesny premjer w okresie świąt Bożego Narodzenia sam objeżdżał ośrodki przemysłowe dla zbadania sytuacji i szukania środków zaradzenia jej, a wojewoda łódzki, p. Darowski, wystosował do przemysłowców pismo, zawierające zapytanie, co uczynić zamierzają, by 1) wstrzymać dalszy wzrost bezrobocia włókienniczego, 2) wzmóc produkcję drogą rozwoju eksportu, 3) zatrudnić przynajmniej częściowo istniejącą armję bezrobotnych. Stanowisko przemysłu, całkowicie bezradnego wobec panującego kryzysu i powszechnych konjunktur, było piętnowane, jako bierne, (ale gdy przemysł wystąpił z propozycjami co do środków zaradczych, nie zostały one nawet poddane dyskusji).

Jeszcze w czerwcu r. b., gdy związki zawodowe robotnicze wystąpiły z żądaniem podwyżki, a przemysł przeciwko niej się bronił, ze strony urzędowej czynione i ponawiane były propozycje, by przemysł zamiast podwyżki powiększył ilość dni pracy, t. j., by zobowiązał się do zatrudniania robotników, pracujących w znakomitej większości tylko 3 dni w tygodniu, przez cały tydzień. Gdy przemysł zobowiązania takiego udzielić nie mógł, rząd w osobie premjera Bartla wymógł na nim perswazją przyznanie podwyżki płac w wysokości 12 proc.

Od tego czasu sytuacja zmieniła się gruntownie.

Ilość bezrobotnych zmniejszyła się o kilka dziesiątków tysięcy, a robotnicy zatrudnieni, czynni są przez wszystkie dni tygodnia, a nawet bardzo liczni z pośród nich pracują ponad zwykłą 8-godzinną normę.

Zdawałoby się, że w tych warunkach ponowne żądanie podwyżki płac, jako sowicie skompensowane wzmożonym zarobkiem robotników, nie wywoła ani żywszego zainteresowania, ani tem mniej interwencji ze strony rządu, którego interes państwowy jest przez fakt wydatnego zmniejszenia się bezrobocia i obfitszego zarobku pracujących zaspokojony, zwłaszcza, że równie państwowy interes niepodwyższenia się poziomu cen mógłby być przez nową podwyżkę płac robotniczych zagrożony.

Z tego punktu widzenia dziwić się należy skwapliwej interwencji ministerstwa pracy, podjętej w dniach ostatnich w sprawie żądań robotników włókienniczych, zanim nawet doszło do rozmowy stron w tym przedmiocie, A już całkowicie zdumiewać się trzeba ujęciu sprawy przez ministerstwo w takiej formie, że w wydanym o obradach z przemysłowcami komunikacie urzędowym próbuje stosować środki przymusu.

Natomiast o propozycji przemysłowców zapewnienia robotnikom zwiększonego zarobku w drodze zwiększenia ilości godzin pracy dziennej, komunikat nie wspomina wcale. Urzędnicy ministerstwa uważali bowiem za słuszne wyeliminować tę kwestję z dyskusji...

A o tem, że przed paroma zaledwie miesiącami sfery urzędowe reprezentowały pogląd, iż zdrowszem od podwyżki byłoby wzmożenie pracy, zapomniano od chwili, gdy stało się ono faktem dokonanym.

W Ministerstwie Pracy wisi w ozdobnej oprawie ozdobny i efektowny karton, na którym z podpisem marszałka Piłsudskiego wydrukowane są słowa jego: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy..."

Czy nie byłoby słuszne, by ten zamieniony właśnie w tem ministerstwie na pusty frazes aforyzm został czemprędzej stamtąd usunięty?

NARODZINY NOWEJ IDEI

W Nr. 21-szym „Steru" p. W. Krzywicki pisząc o bankructwie teorji i ideałów wielkich utopistów socjalnych i o klęsce marksizmu, który na zawsze spoczął w mogile — w mauzoleum Lenina na placu czerwonej gwardji w Moskwie, twierdzi, że obecnie przeżywamy okres bezkrólewia w dziedzinie ideologji społecznej.

* * *

Sytuacja się nie wyjaśniła... Odzywają się liczne głosy twierdzące, że ideał stary nie umarł, że żyje i ukaże się wiernym pod innem nazwiskiem, lecz głosy te coraz mniej znajdują posłuchu: ludzkość, a przynajmniej elita myśląca, ma dość materjalizmu, dość nienawiści, dość „walki klasowej", chce czegoś lepszego, chce ideału prawdziwego, pięknego, „szczytnego", któryby, jak dawniej, dodawał otuchy i napawał wiarą w człowieka i w lepszą przyszłość.

Narazie trudno się zorjentować, kto zasiądzie na opuszczonym tronie, kto dotrze do osieroconych serc, szlachetnych marzycieli i do żądnej czynu, łaknącej sprawiedliwości i usunięcia krzywdy, młodzieży naszej...

W każdym razie już coś się szykuje, mnożą się oznaki, że zbliża się do nas z utęsknieniem wypatrywany przez niestowarzyszone grono szlachetnych: Nowy Ideał.

Czeka tylko na swego Jana Chrzciciela, aby się objawić światu i wziąć w posiadanie masy, czeka na umysł genjusza, któryby dał mu potężny fundament teorji logicznej i wyprowadził do walki zwycięskiej ze zmurszałemi szczątkami ideału starego i usunął z drogi naśladowców i samozwańców, ogłaszając urbi et orbi śmierć niepowrotną tego, który zniknął ze świata w krwawej posoce.

Przyśli adepci czekają na hasło, nie wiedząc, czy hasło to, które ma wyrwać świat cały z grząskiego topieliska materjalizmu klasowego, wyjdzie z grona francuskich profesorów, usiłujących stworzyć nową koncepcję „solidaryzmu" społecznego, czy padnie z otoczenia człowieka, który we Włoszech dokonał czynu wielkiego, czy wreszcie wyłoni się z kłębowiska do ostateczności napiętej w Anglji walki klasowej, gdzie przywódca Trade Unionu Wilson-Hawelock wraz z kolegami rzucił myśl założenia „Ligi pokoju przemysłowego", którаby miała za zadanie protestowanie i zwalczanie doktryny klasowego ugrupowania i klasowej wojny, a w miejsce tego usiłowanie zjednoczenia wszystkich członków społeczeństwa do współpracy około dobra publicznego.

P. Hawelock Wilson sądzi, „że należy mieć wiarę w życie narodowe, **że wszyscy mają wzajemny interes we wzajemnym dobrobycie, że żadnej części społeczeństwa nie może stale się powodzić, podczas gdy inne są w nędzy i że prawdziwa droga do pomyślności musi prowadzić przez powszechną współpracę i dobrą wolę".**

Jest to głos tem cenniejszy i tem więcej znamienny, że pochodzi z ust robotnika, a więc z ust przedstawiciela klasy społecznej, która do niedawna jeszcze w swoich ideałach socjalnych, nawet w ujęciu najświetlejszych swych przedstawicieli, przyznawała sobie bezapelacyjnie pierwsze miejsce w hierarchji społecznej, z całą bezwzględnością stawiając nogę na karku innym klasom swego społeczeństwa.

Szlachetna myśl ludzka, która tworzy szczytne ideały ludzkości, ta, która najboleśniej odczuła uderzenie głową o mur leninizmu, najwidoczniej ocknęła się i poczęła tworzyć na nowo.

Nowy ideał społeczny jest w drodze; jeszcze się nie ujawnił konkretnie, nie odsłonił swego oblicza, lecz gdy przyjdzie, znajdzie grunt przygotowany i zostanie przyjęty radośnie przez najszersze warstwy przesyconej materjalizmem i „walką klasową" ludzkości.

* * *

W związku z uwagami p. Krzywickiego zwracamy uwagę czytelników na artykuł Henryka Koźmiana w niniejszym numerze „Prawdy" oraz na artykuł tego samego autora w Nr. 37-mym „Prawdy" zatytułowane „Nowy katechizm jutra".

P. Henryk Koźmian rozwija w tych artykułach myśli, nurtujące w sferach czysto przemysłowych Ameryki i promieniujące stamtąd na cały świat. Nowe hasło nie wyjdzie ani z grona profesorów, ani z otoczenia Mussoliniego, ani z kłębowiska walki klasowej w Anglji, ale z Ameryki, gdzie produkcja przemysłowa doszła do największego roz kwitu i gdzie kapitał przemysłowy w fazie największego rozwoju staje się fundamentem demokracji, realizując w własnym interesie marzenia utopistów o powszechnym dobrobycie i wolności.

NOWY KATECHIZM JUTRA

PRZEMYSŁ

Jego wrogowie: kapitał finansowy i reformatorstwo socjalne. Przemysł sam w sobie niesie rozwiązanie zagadnień społecznych.

Silni są jego wrogowie, strzegą, by nie był tem, czem mógłby, może i musi wreszcie być: organizacją wytwórczą, **pracującą dla zysku** wzamian za oddane publiczności materjalne usługi.

Wrogowie są dwaj i spychają go z drogi, prowadzącej ku zapewnieniu społecznościom wzrastającego dobrobytu. Jeden stoi u góry, drugi na dolnym szczeblu społecznej drabiny. Zwalczając się pozornie, tworzą z produkcji teren swoich niszczycielskich harców. Różne są metody i różne tej walki motywy. **Jedni zniszczyli Rosję, drudzy centralną Europę.** Kto więcej zniszczył — trudny to sąd.

Ich miano: — **zawodowa finansjera — i — zawodowe socjalne reformatorstwo.**

Pierwsza, wmówiwszy światu „potęgę pieniądza", zaczyna zwykle atak, **kiedy wszystko jest dobrze,** spekulując, że to właśnie moment zrobienia świetnego „coup".

Do przemysłu stosuje metody z giełdy, w kalkulacji obchodzą ją jedynie dochody, usług w rachubę nie bierze, zapominając, że **oddane usługi przyniosą automatycznie zysk.** W jej rękach przemysł staje się **organizacją dla zrobienia pieniędzy,** zamiast pozostać w naturalnej roli producenta dóbr. Przedsiębiorstwa są dla nich dość często tylko **pretekstem dla „emisji" papierów,** dających się z zyskiem ulokować na giełdzie. Ustawia się **kotły dla gotowania nastrojów giełdowych** i, zamiast racjonalnej produkcji, tworzy się koło obrotów **interesów pieniężnych.** Publiczność jest tego koła styczną, zamiast być średnicą.

Ich potęgą nie jest złoto, bo złoto jest bez silnem. Siłą ich jest sprawowane kierownictwo pojęciami o złocie. Niebezpieczeństwo zaś leży nie w serwiliźmie dla ich pieniędzy, lecz w koncepcji o znaczeniu tych pieniędzy.

Wróg drugi — socjalne reformatorstwo — **przenosząc podział własności nad rozdział produkcji,** działa otwarcie, licząc na dojście do władzy, **kiedy jest źle.** W poglądach na rolę przemysłu mało różni się od finansjery zawodowej. Gdy tamtą obchodzi przedewszystkiem zysk — a prawo własności o tyle tylko, o ile pozostaje w związku z prawem do zysku — tych obchodzi przedewszystkiem własność. Jedni i drudzy lekceważą podstawy ekonomji, bo chcą tego samego: **coś za nic.**

Chwiejące się między nimi społeczeństwa nauczyli żądać i domagać się tego, co dać może tylko racjonalna produkcja i dzięki tym rozbudzonym pragnieniom sprawują rządy nad Europą, operując zręcznie dla utrwalenia tych rządów jedni wzbudzającym postrach widmem wojny, drudzy grozę budzącem widmem rewolucji.

Zamiast dobrobytu, dostaje ludność enuncjację i traktaty — pałac pracy w Genewie i „zdobycze" socjalne. Rozpolitykowane społeczeństwa uwierzyły, że **rządy rozporządzają środkami większemi od samych społeczności** — i stale od nich cudów oczekują.

Ponieważ niema cudów, więc **rośnie niezadowolenie,** rządy zmieniają się częściej od pór roku i doszło do chaosu, w którym Europa dziś się znajduje.

Dziś pozostała już tylko nadzieja, że przyjść musi wreszcie uwolnienie się od teoryj zawodowych wyzyskiwaczy i że, nauczywszy się strzec zasad ekonomji, ludzie zrozumieją, jak sztucznym jest związek potęgi pieniądza z **prawdziwym przemysłem.**

Przekonają się wówczas, że produkcję stanowią przedewszystkiem **wynalazczość,** a dalej **praca i organizacja.** One tylko dają za nic coś. Okoliczność, że cyfrą pieniędzy wyrażono wartości, zgoła niemi nie będące, stała się dla wyzyskiwaczy przemysłu najkapitalniejszym atutem. Wprowadza łatwe pomieszanie pojęć i wartości przestawienie.

I tak, mówiąc naprzykład o miljonowem wytwórczem przedsiębiorstwie, widzi 99 procent bezkrytycznej ludności ukryte w niem gdzieś miljony pieniędzy. Dla jednych staje się ten przemysł symbolem potęgi pieniądza, drudzy, rozporządzając mniejszą dozą fantazji, widzą tam gotowe pieniądze i chcą się niemi dzielić.

W rzeczywistości ustawiono tam maszyny i narzędzia **bez wartości, kiedy milczą,** warte dopiero stokroć więcej, kiedy ujęte w genjalną organizację produkcji, wzamian za zysk **ku ogólnemu dobrobytowi** pracują. Wartość ich określić może jedynie **suma usług, oddanych publiczności.** Podobnie jak wartości stali, kupowanej **dla wygody** w tonnach, nie stanowi ciężar, ale jej wytrzymałość.

Kwestja usług jest dominującą. **Nie przemysł dla kapitału, ani publiczność dla przemysłu, ale przemysł dla publiczności, a kapitał dla przemysłu.**

Przestawienie tych zależności podciąć musiało normalny rozwój gospodarki społecznej. Musiało doprowadzić równocześnie do spopularyzowania zawodnych pojęć o znaczeniu posiadanych przez jednostki pieniężnych kapitałów, a w konsekwencji do pragnienia podziału ich.

Mowa tu nie o finansiście, rozumiejącym znaczenie pieniądza, a pracującym nad jego obrotem: jest on potrzebnym, oddaje usługi za należny mu zysk. Będąc częścią składową mechanizmu, nie jest samym mechanizmem. Mowa o tym, **który z samego tytułu posiadania pieniędzy, bez względu na oddane usługi, kontrolować chce światową produkcję, podczas, kiedy rola ta przypada jedynie kupującej lub powstrzymującej się od kupna publiczności.** Wciąga on przemysł w sferę działań giełdy, a oddzielając się od finansowanej produkcji żelazną ścianą gwarancji, **chce być wspólnikiem jedynie przy zyskach.** Pomysłowość, praca i ryzyko są mu zgoła obce. Produkcja, nie będąc jego celem, jest jedynie środkiem. Jego kapitał jest martwy a skazuje przemysł na służenie dwom panom: jemu i publiczności — to jest niemożliwe, więc przemysł staje się eksploatacją a kończy katastrofą. Niemcy tego doskonałym przykładem.

Mowa tu też nie o reformatorze, zadanie swoje opierającym na socjologji, czynnik tak potrzebny, jak nieuniknionym jest rozwój socjalny. Mowa o tym innym, który generalizując, własności i zyskom zasadniczo racji bytu odmawia. Stworzony przezeń syndykalizm postawił najlepszego przemysłowca między ciężki młot finansjery a kowadło żądających więcej płacy za mniej pracy robotników. Walcząc rzekomo przeciw kapitałowi, rani śmiertelnie jedyny eksponent dobrobytu, bo trafia w produkcję.

Jak długo potrzeby ludności, na roli przeważnie osiadłej i transportu pozbawionej, zaspokajało rzemiosło, obojętną być mogła jej koncepcja produkcji.

Działo jej się lepiej lub gorzej, zależnie od dobroci czy mądrości władców, którzy wydajności ziemi kontrolować nie mogli. Inaczej z chwilą przeludnienia i powstania wielkiego przemysłu. Tu koncepcja i jej przestrzeganie są wykładnikami dobrobytu, albo — katastrofy.

Koncepcja, stanowiąca obecnie jeszcze w Europie dogmat, doprowadziła do katastrofy, będąc dzieckiem zawodowej finansjery. Streszcza się ona następująco: osobnicy kwalifikacyj obojętnych, zwani kapitalistami, dostarczają maszyn i narzędzi, a używając ludzi, t. zn. pracy, za możliwie niskie wynagrodzenie, fabrykują towar i sprzedają go przy możliwie najwyższych cenach kolektywności osób zwanych publicznością a zysk skrzętnie chowają do kieszeni.

Według tej koncepcji **publiczność jest fikcją i z niewyczerpalnego skarbca bierze potrzebne dla kupna pieniądze.** Ponieważ zaś zysk jest wyzyskiem i publiczności i pracujących, pierwsza potrzebuje **obrony państwa przed żdzierstwem przemysłu,** a dla drugich konieczną stała się **formułka o „minimalnym" dla egzystencji zarobku.** Funkcjonować może wedle tej koncepcji przedsiębiorstwo rzemieślnicze. Zastosowana do wielkiego przemysłu jest świetną osnową eksploatacji pracujących i kupujących.

W rzeczywistości zaś stanowią przedsiębiorstwo, zatrudnieni i publiczność jedną i tę samą grupę wspólnego interesu. Przestrzegając tej prawdy, ma przemysł widoki nieograniczonego rozwoju.

Podniesienie płac zarobkowych bez obniżenia kosztów produkcji, ale również obniżenie kosztów bez podniesienia płac, godzą w podstawy produkcji, bo ograniczają liczbę kupujących, którzy przestali być „magnatami" z dóbr naturalnych czerpiący dochody, a stali się w znacznej części **zatrudnioną w różnych działach masą.**

Minimalny dla „egzystencji" zarobek jest tylko chimerą, bo nie cyfra otrzymanych pieniędzy, a jedynie ilość otrzymanych dóbr zaspokoić może potrzeby życia.

Odmawianie przemysłowi prawa do zysku, jest zasadniczem zaprzeczeniem znaczenia prywatnej inicjatywy. Będąc wykładnikiem organizacji i pomysłowości, ona to jedynie stanowi wogóle o możliwości przetworzenia ludzkiej pracy na dobra. Jeżeli organizacja i przemysłowość są niewystarczające, inicjatywa przynieść musi straty, więc w razie powodzenia należy się jej nagroda w postaci zysku. Wykluczenie zysku równałoby się zagładzie wszelkiej inicjatywy. Jednak przemysł, nie będąc giełdą, zysk uzależniać musi od użytego kapitału, i od sumy usług oddanych kupującej publiczności. **Odstępstwo od tej zasdy jest negacją możliwości stałego rozwoju produkcji.**

* * *

W oświetleniu tej koncepcji przejrzystemi stają się stosunki w latach, poprzedzających wojnę. Patrząc wstecz, widzimy, jak **opuszczają produkcję prawdziwi przemysłowcy, a rozpierają się na ich miejscu rycerze finansów.** Myśląc jedynie o środkach, czyniących dochód pewnym, zapomnieli o metodach, ulepszających wytwórczość. Pod ich komendą wypracowano całe systemy celne, mające im ułatwić dalszą eksploatację. Pod osłoną tych ceł, jeżeli nawet wskutek ulepszenia metody koszty produkcji zmniejszono, to zamiast obniżyć ceny towaru i w większym obrocie szukać pomnożenia dochodów, dodawano tę zniżkę wprost do zysków. Byli **nawet usłużni teoretycy, głoszący, że ten system jest powiększeniem narodowego bogactwa.**

Przy cenie sprzedaży kierowano się jedynie względami konkurencji, przez co przedsiębiorstwa najgorsze, bo pracujące najdrożej, odgrywały zaszczytną misję dyktowania cen.

Doszło przecież do tego, że **do oceny wartości pracy ludzkiej - zastosowano kupieckie prawo popytu i podaży.** Pominąwszy czysto etyczne wrażenie tego faktu, trudno się powstrzymać od określenia go ekonomicznym **nonsensem.** Chciwość przeszła w zaślepienie i zrozumiałem się staje, jako następstwo, dzisiejsze utrzymywanie legji bezrobotnych.

Z wzrastającą ludnością, wzrastała podaż pracy, więc wartość jej malała. Krótkowzrocznie zapomniano o jednem, ale najważniejszem, że w ten sposób produkcja nie znajdzie wkońcu konsumcji. **Siłę kupna mas stanowi wartość pracy, więc rozwój przemysłu z podnoszeniem jej wartości nierozłącznie jest związany.**

Potraktowanie pracy ludzkiej, jako towaru, było przeciągnięciem struny. Od tej chwili zawodowi reformatorzy łatwo mogli pociągnąć ku sobie masy. Burza stała się nieuniknioną.

Przedsiębiorstwo, które przy obniżeniu kosztów produkcji podniosłoby z własnej inicjatywy płace zarobkowe, uważanoby dziś jeszcze za pozbawione zmysłu, mimo, że jest to przecież bezpośrednia droga dla podniesienia życiowego standartu zatrudnionych a pośrednia dla ich otoczenia. A standart ten decyduje o konsumcji produkcji.

Nie było więc nadprodukcji, standart życiowy jest bowiem nieograniczony. Przeciwnie, masy głodne były dóbr, ale wyeksploatowane, nie miały środków dla ich pozyskania. Wartość ich pracy nie rosła, więc malała ogólna siła kupna — wybuchła wojna o rynki zbytu.

Podobnie się dziś mówi o braku kapitałów; brak ich, bo czekają na stosunki „przedwojenne". Dopiero gdy zrozumieją, że to czasy bezpowrotne, przyjdzie na Europę okres dobrobytu.

Tymczasem Ameryka, stosując do produkcji te zdrowe zasady, daje przykład niebywałego rozwoju. Jeżeli przesadne formy życia stają się tem zatrważające, to nie winą dobrobyt, **ale brak koncepcji życia.** Jest to inny rozdział problemów ludzkości. Posiadając tradycje, z których jesteśmy tak dumni, a rozporządzając myślicielami i klasą intelektualną, Europa ten problem rozwiązać jest w stanie.

Istnienie wielkiego przemysłu stawia dla społeczeństw w odmienne światło sprawę kierownictwa. Potrzebował go świat zawsze, od najprymitywnieszych ludzkich organizacyj począwszy. **Wczoraj było ono polityczne czy militarne, od dziś musi być przemysłowem, bo większą będzie suma usług, przezeń oddanych ludzkości.**

Przyszłość? — Czyniąc to, co dla nas dzisiaj jest najlepiej, — czynimy dla przyszłości to, co jest możliwem.

Paryż, wrzesień 1926 r.

Inż. Henryk Koźmian.

NA KRESACH

Z naszych wschodnich kresów, z Wołynia, coraz smutniejsze nadchodzą wieści. Do niedawna trapiły ludność tamtejszą napady t. zw. dywersyjnych band bolszewickich; odkąd jednak wprowadzono straż graniczną, napady te ustały, a gdy jeszcze dzięki bardzo umiejętnej działalności powszechnie szanowanego wojewody p. Dębskiego ogólne stosunki uległy znacznej poprawie, na Wołyniu rozpoczęło się wreszcie spokojne i pracowite życie. Polskie społeczeństwo tamtejsze zaczęło się organizować, zrodziła się wiara w lepszą przyszłość.

Niestety, stan ten trwał niedługo. Wkrótce po uspokojeniu zzewnątrz **rozpoczyna się „dywersja" wewnętrzna.** — „Nietykalni" posłowie z lewicy urządzają „gościnne występy" w celu pouczenia miejscowej ludności, że Polacy są **intruzami** i że należy ich „wykurzyć". Niezadowalając się ustną propagandą, **p. Bryl zakłada pismo ruskie** „Nasza Sprawa", które szerzy te zbawienne idee, nasze zaś władze niestety nie przeszkadzają. Doszło do tego, że nietylko ziemianin, ale nawet osadnicy wojskowi, poważnie zaniepokojeni o swój los, **zamyślają o zlikwidowaniu swych posiadłości** i przeniesieniu się do centralnych województw.

Jest to objaw bardzo smutny, a nawet groźny, gdyż polskość Kresów zależy niemal wyłącznie od tych Polaków, którzy tam ziemię posiadają i są — jak byli od wieków — pionierami polskiej myśli i polskiej kultury. Gdy ich nie stanie, cały ten kraj podpadnie pod wpływy sąsiedniej bolszewickiej Ukrainy i zatraci zupełnie polski charakter.

Ciekawa jest i dziwnie niekonsekwentna nasza polityka kresowa. Przez sto zgórą lat polscy ziemianie i kler katolicki bronili z największem poświęceniem i zaparciem siebie polskiego stanu posiadania na Litwie i Rusi, i pomimo największych prześladowań i ucisku moskiewskich satrapów, pomimo konfiskat i masowych „zsyłek" na Sybir — trwali na swych placówkach, by kiedyś zmartwychwstałej Ojczyźnie zwrócić ten depozyt ojców i dziadów.

Polska opinja publiczna zachęcała najgoręcej do wytrwania, ba, nawet stawiała pod pręgierz tych, którzy nie chcieli lub nie mogli utrzymać się na stanowisku. Powstała nawet na tem tle cała literatura („Dewajtis" i t. p.). I oto gdy wreszcie wybiła godzina wyzwolenia, a Polska wolna i niepodległa przestała być marzeniem, zdawało się tym bojownikom kresowym, że skończyły się dni walki, że przyszła chwila, gdy będą mogli wypocząć po wiekowym trudzie, a zabrać się do nowej, zupełnie innej, owocnej pracy we własnym już kraju; mieli zupełne prawo spodziewać się, że otoczy ich troskliwa opieka rządu polskiego i spotka wdzięczność całego narodu, bo przynosili oni młodemu państwu kraj wprawdzie zniszczony przez wojnę, **ale nie zrusyfikowany i przygotowany do przyjęcia państwowości polskiej.**

Dzięki wyłącznie ich pracy i wpływom, co należy najmocniej podkreślić, przetrwała na tych kresach polska kultura i tradycja państwowej przynależności. Lud ruski i białoruski pozostał tem, czem był przed stu laty — takiem **nieuświadomionem narodowo tworzywem, z którego można było ulepić najlepszych obywateli polskich.** Nie mogąc, wskutek nadzwyczajnego ucisku, tego ludu oświecić i ucywilizować, **nie dopuścili jednak do zmoskwiczenia** rusinów i białorusinów i do wynarodowienia ludu polskiego. W warunkach ówczesnych było to maksimum tego, co można było dla sprawy polskiej uczynić.

Dzięki temu ludność kresów w olbrzymiej większości z zadowoleniem przyjęła polskie rządy w nadziei, że przyniosą jej upragniony ład i porządek, spokój i korzyści ekonomiczne; **o żadnej autonomji nie myślała wcale, nie rozumiejąc nawet, na czem ona polega,** a swoboda polityczna, po smutnych doświadczeniach różnych rewolucyjnych rządów, wzbudzała w niej raczej obawę. Prawa kulturalne były dla tej ludności zupełnie obojętne, pragnęła wprawdzie oświaty, ale takiej, któraby mogła jej przynieść rzeczywistą korzyść, **a więc polskich szkół,** w których mogła się nauczyć **„pańskiej mowy".**

Dawne tradycje, przywiązanie do polskich panów i polskich księży, którzy uzyskali wielki autorytet i szacunek powszechny, wyrobiło wśród rusinów i białorusinów przekonanie, **że polska władza będzie stokroć lepszą od wszystkich poprzednich.** W takich warunkach wystarczało trochę zręczności i dobrej woli, by zjednać sobie całą ludność. Wystarczało wprowadzić polski język i polskie szkoły, żeby zasymilować drogą zupełnie pokojową, bez żadnego przymusu, dziesiątki tysięcy ludzi „tutejszych", których jedynie twarda ręka moskiewskiego rządu powstrzymała od polonizacji, co zaś do reszty ludności — **odpowiednie zarządzenia natury gospodarczej, któreby** podniosły dobrobyt, a więc: tani i łatwy kredyt, dobre drogi, uregulowanie serwitutów i t. p. i zaprowadzenie sprężystej i uczciwej administracji, byłyby niezawodnym środkiem dla pozyskania sympatji i zaufania szerokich mas.

Zamiast tego, tak prostego sposobu, nasze sfery rządzące nie miały nic pilniejszego do zrobienia, jak wypuścić na kresy całą sforę działaczy ze „straży kresowej", „Wyzwolenia" i ukraińskich organizacyj ze wschodniej Małopolski, którzy zaczęli niemal **przemocą budzić uświadomienie narodowe i nienawiść do „Lachów".** Zakładano na gwałt ruskie, białoruskie i rosyjskie szkoły, pomimo protestów ludności, otwierano „proswity" ukraińskie, wydawano dzienniki w miejscowej gwarze, popierano ruch separatystyczny, a jednocześnie zaczęto szykanować polskie ziemiaństwo i wogóle miejscowych Polaków do tego stopnia, **że wielu uważało rosyjski ucisk za mniej uciążliwy, niż rządy polskie.**

Gdyby to, co piszę, nie było oparte na faktach, możnaby myśleć, że jest to złośliwa farsa, bo niepodobna wprost uwierzyć, by jakikolwiek rząd na świecie mógł uprawiać szkodnictwo. Niestety, **tak było rzeczywiście i dopiero napady „dywersyjne" z Bolszewji otrzeźwiły Warszawę i zdrowy rozsądek zapanował nad doktryną.**

Od przewrotu majowego, po którym wzmogły się tutaj — niewiedzieć dlaczego — wpływy lewicy, rozpoczyna się znów nawrót do polityki narodowościowej i patologicznego liberalizmu. Usunięcie wojewody Dębskiego i zmiana na stanowisku kuratora okręgu naukowego, to pierwsze zwiastuny nowego kursu, który przerażeniem przejmuje wołyńskie społeczeństwo polskie, i nietylko wołyńskie, bo wszyscy wiemy, że ten kurs musi doprowadzić do zaprzepaszczenia wiekowej pracy polskiej na Kresach i w ostatecznym rezultacie — do zupełnego **oddzielenia od Polski tych odwiecznych prowincyj dawnej Rzeczypospolitej.** Jeżeli nasza opinja publiczna nie zahamuje tego fatalnego prądu, to musimy być przygotowani, że wkrótce spełnią się życzenia bolszewików i że ziemie, których posiadanie okupiliśmy setkami tysięcy ofiar i potokami krwi, wrócą pod panowanie „matuszki" Moskwy.

Serce się kraje na myśl, że to, czego nie zdołały zniszczyć półtorawiekowe rządy carskie, **musi paść ofiarą polskiego zaślepienia.** Będzie to straszna krzywda nietylko dla Polski, ale dla ludności kresowej, którą w ten sposób rzucimy sami w objęcia bolszewizmu. Zdaje mi się, że sprawa ta jest stokroć ważniejszą od stałego czy półstałego miejsca w Lidze Narodów, które tak absorbuje uwagę społeczeństwa.

A. S.

ŚRODKOWA EUROPA A POLSKA

Gdzie się rozpoczyna Europa środkowa? Czy Polska współczesna do niej należy?

Środkowa Europa niema granic naturalnych, tylko gospodarcze i kulturalne. Poznańskie, Pomorze, Śląsk Górny, Śląsk Cieszyński — oto wschodnie rubieże Europy środkowej. Kraje te ani gęstością sieci kolejowej, ani wydajnością zboża z hektara, ani budową swych miast, ani swemi urządzeniami gospodarczemi i kulturalnemi nie różnią się od reszty Europy środkowej, różniąc się bardzo od reszty Polski i od całego wschodu.

Łódź, owe wielkie przemysłowe miasto, przechodzące kilkakrotnie Białą z Bielskiem — to nie środkowa Europa, to placówka gospodarcza, jakkolwiek o zaczynie środkowoeuropejskim, lecz rozrosła się dziko bez planu, bez myśli społecznej pod wpływem **elementarnych czynników Wschodu.**

Warszawa i Budapeszt — to miasta, których rozwój w ostatnich kilkudziesięciu latach przed wojną znajdował się w związku z odmiennemi warunkami wschodu i Europy środkowej. Budapeszt, jedno z najładniejszych miast na świecie, zawdzięcza wprawdzie dużo przyrodzie, olbrzymiej rzece, o którą oparły się najładniejsze ulice tego miasta oraz nadbrzeżny bulwar i ma górzystą Budę, urozmaicającą widnokrąg. Ale Warszawa także ma rzekę — Wisłę, lecz nie wyzyskaną: cytadela odpędziła Warszawę od Wisły, do Wisły przylega dzielnica proletarjacka.

„Postawiłem cytadelę i przy najmniejszym buncie zburzę miasto, a zburzywszy — nie odbuduję" — oto słowa Mikołaja I. Tłumaczą one, dlaczego skrzywiony został rozwój Warszawy.

Nasze Wilno mówi nam, żeśmy przed wiekami byli ostatniem ogniwem Europy środkowej wysuniętym na wschód. Przez rozbiory zostaliśmy zdegradowani do poziomu wschodu.

Galicja była poddana dwum procesom: degradacji gospodarczej przez współzawodnictwo przemysłowej Austrji i wysoce uprzemysłowionych Czech oraz procesowi podnoszenia się gospodarczego, wskutek sił motorowych przemysł. prowincyj Austrji, wytwarzających kapitał, szukający zastosowania. Przez wiele lat pierwszy proces był dominującym, w okresie 1890 r. do 1910 r. przejawia się ów drugi proces, ustaje jednak w okresie przedwojennym, gdy Francja dla osłabienia Austro-Węgier wycofywała swe kapitały z monarchji Habsburgów.

Dziś dylematem gospodarczym Polski jest albo podniesienie wszystkich swych dzielnic do poziomu Europy środkowej, stanie się równouprawnionem jej ogniwem, albo obniżanie poziomu naszych zachodnich dzielnic do poziomu Europy wschodniej. Pierwsze da nam potęgę polityczną, drugie upadek.

Gospodarczo jesteśmy związani dziś ze środkową Europą więcej, niż kiedykolwiek. W pierwszej połowie 1925 r. przeszło 75 procent naszego wywozu szło do środkowej Europy, jeżeli do niej zaliczymy Rumunję, co możemy uczynić ze względu na położenie geograficzne Rumunji, czyniące ją naturalnym rynkiem dla środkowej Europy. Przeważający procent wywozu każdego z państw środkowej Europy wypada na państwa środkowoeuropejskie: tak naprz. 66 proc. wywozu Rumunji, 50 proc. wywozu Austrji, przeszło 70 proc. wywozu Węgier.

Rozbudowany obecnie kanał Ren-Men-Dunaj wciąga w orbitę środkowej Europy wszystkie państwa naddunajskie.

Państwa środkowej Europy mają rynki wspólne, co jest źródłem ich współzawodnictwa: mają też rynki uzupełniające się wzajemnie, co jest podstawą ich solidarności gospodarczej. W zjawiskach gospodarczych oba te czynniki występują i kombinują się.

Dominującym czynnikiem gospodarczym Europy środkowej są Niemcy. Posiadają bowiem w Rzeszy czterdzieści kilka procent ludności środkowej Europy, nie licząc już niemieckiej Austrji, gdzie mają przeszło 6 miljonów Niemców, ponadto posiadają kilka miljonów Niemców w innych państwach Europy środkowej, co daje naturalny punkt oparcia dla handlu i przemysłu niemieckiego na całym obszarze środkowej Europy. Pod względem rozmiaru, organizacji, technicznych urządzeń, przedsiębiorstw przemysłowych, pod względem wydajności rolnictwa z hektara, pod względem kredytów międzynarodowych i formowania się nowego kapitału Niemcy nie mają współzawodnika w Europie. Są też największą siłą, naturalnym ośrodkiem gospodarczym, dostarczającym siły motorowe dla światowego rozwoju gospodarczego wogóle, a całej Europy przedewszystkiem.

Porty północne, ważne dla stosunków handlowych z Ameryką, posiadają właściwie tylko Niemcy i te porty obsługują handel zamorski Europy środkowej. Triest i Fiume — południowe porty Europy środkowej nigdy nie kwitły, a dziś odcięte od swego Hinterlandu, upadają. W przywozie do Austrji udział Triestu wyraża się kwotą 0,6, w wywozie 1,2 proc. (r. 1925).

Hamburg jest głównym portem Europy środkowej, jest też pośrednikiem w handlu zaoceanowym dla Czechosłowacji, Polski, Austrji, nie mówiąc już o Niemczech.

Gospodarczy związek, który ze względów geograficznych wytworzył się w środkowej Europie i którego główną siłą motorową są Niemcy, wywołał zależność walutową środkowej Europy od Niemiec. Aż do zaprowadzenia marki rentowej w Niemczech, w październiku 1923 r. **katastrofalny spadek marki niemieckiej pociągał za sobą spadek wszystkich niemal walut środkowo - europejskich.** Tylko korona czechosłowacka oderwała się od marki niemieckiej.

Ucieczka od marki w Niemczech, poszukiwanie tam walut mocnych wywoływało ściąganie tych walut ze słabszych rynków, związanych z Niemcami i podnosiło tam cenę walut, t. j. obniżało kurs waluty miejscowej i rodziło inflację.

W rok po reformie monetarnej w Niemczech, przyszły reformy monetarne w Polsce, Austrji i na Węgrzech.

Nie było to rzeczą przypadku. Musiały przyjść reformy walutowe w tych państwach, gdy warunki zewnętrzne umożliwiały stabilizację.

Upadek złotego polskiego nastąpił w sierpniu 1925 r., a nawet w końcu lipca i był nietylko chronologicznie, ale i logicznie **związany z wojną celną z Niemcami.** Połowa naszego handlu, to handel z Niemcami, Niemcy zaliczkują eksport Polski do Niemiec i kredytują import. Stanowiło to **około 200 milj. złotych miesięcznie,** a więc znaczną część naszej gotówki obiegowej. Luka, jaka wytworzyła się przez wojnę celną, musiała zachwiać naszemi bankami. Poszukiwanie nowych rynków zaopatrzenia, potrzeba znaczniejszej ilości gotówkowych zagranicznych operacyj, zmuszały do poszukiwania dolara, co obniżyło kurs złotego.

Polityka gospodarcza winna dążyć do świadomej kooperacji gospodarczej Europy środkowej. Lecz tu stają częstokroć na drodze względy różnorakiej natury i nieodpowiednie zakreślenie granic politycznych przez traktaty, które miały stworzyć nową Europę.

Austrja nie chce pozostawać odrębnem państwem, Węgry nie mogą pogodzić się z granicami, zakreślonemi przez Traktat w Trianon. Europę środkową czeka szereg zmian politycznych: przesunięcia granic państw, które wchodzą w jej skład. Uniknąć tych przesunięć nie można, ale ważnem jest, aby one dokonały się ekonomicznie, t. j. z najmniejszemi ofiarami. My zaś winniśmy baczyć na to, by zmiany te znajdowały się w zgodzie z naszą Racją Stanu. Pod tem rozumiemy nie to, żebyśmy mogli dyktować jedne zmiany i nie dopuszczać innych. Nasze siły i nasza twórczość polityczna jest ograniczona. Nie możemy naprz. przeciwstawić się przyłączeniu Austrji do Niemiec, gdyż jest to koniecznością, wypływającą z psychologji politycznej naszych czasów i proklamowanej zasady narodowościowej. Polska może tylko starać się wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści z połączenia się Austrji z Niemcami. Już samo przesunięcie środka ciężkości Niemiec z północy na południe oraz powstanie w Niemczech nowych dla nich aktualnych kwestyj, jak kwestji północnych Czech, które są krajem niemieckim, oraz Triestu, tego naturalnego portu Austrji, a nawet Bawarji, — osłabi parcie Niemiec do rewizji granic polsko-niemieckich.

Współczesne granice, właściwie współczesne terytorjalne ukształtowanie państwa czechosłowackiego jest przeszkodą organizacji środkowej Europy dla nas korzystnej. Czechy orjentują się nie w kierunku Europy, lecz w kierunku Rosji. Posiadane przez nich Węgry północne są pomostem do Rosji, zostały im oddane dla wspólnej granicy rosyjsko-czeskiej, wobec projektowanego oddania Rosji Galicji wschodniej, są więc podmurówką dla zaboru tej prowincji.

Czesi politycznie orjentują się ku Rosji. Na rozwijaną przez szereg publicystów ideę Pan-Europy „Narodni Listy" w sierpniu tego roku odpowiadały, *że nie federacja europejska, lecz słowiańska pod egidą narodowej Rosji jest ich ideałem.*

Stanowisko polskie w środkowej Europie może być mocne tylko przy posiadaniu wspólnej dawnej historycznej granicy z Węgrami, gdyż to daje jej znaczniejszy udział na rynku węgierskim, odsuwa Czechy od Rumunji, daje mocne gospodarcze i polityczne oparcie na południu, niweczy więc obawę kooperacji z Rzeszą niemiecką. Przyłączenie Austrji do Niemiec, okrążając Czechy granicą niemiecką, wzmocni dążność Niemców północnych Czech do połączenia się z Rzeszą, co będzie warunkiem sprzyjającym do osiągnięcia wspólnej granicy polsko-węgierskiej i odzyskania Śląska Cieszyńskiego. Czechy odsunięte od Rosji będą musiały szukać oparcia w środkowej Europie w Polsce.

Środkowa Europa ma naturalne ujście na południe do państw bałkańskich i Turcji, których siły produkcyjne winna podnieść i zbliżyć je do swego poziomu.

Środkowa Europa nie może stanowić przez dłuższy czas wspólnego terytorjum celnego, lecz zbliżenie gospodarcze, musi czynić postępy. Polska winna uzyskać na Węgrzech, w Rumunji i w Turcji uprzywilejowane stawki celne. Co do Węgier stoi nam dziś na przeszkodzie czeski korytarz. Co do Rumunji współzawodnictwo czeskie i nasza wadliwa polityka handlowa. Naprz. ze względu na wojnę celną z Niemcami czynimy trudności w przewozie bydła rumuńskiego przez nasze terytorjum do Niemiec, co wywołuje represje tranzytowe względem Polski ze strony Rumunji. W Turcji uzyskaliśmy szereg koncesyj, lecz wiele z nich nie możemy wyzyskać wskutek słabości naszych sił gospodarczych, nie zasilanych przez kooperację gospodarczą z zachodnimi sąsiadami.

Dotychczasowa nasza polityka gospodarcza i handlowa opierała się na fałszywych przesłankach naszej polityki zewnętrznej. Dziś obie wymagają gruntownej rewizji. Nowe drogi prowadzą nas do środkowej Europy.

Wład. Studnicki.

Listy do „Prawdy"

Premjowanie bezrobocia

W artykule „Jak walczyć z bezrobociem", podpisanym przez p. Oskara Kona i umieszczonym w Nr. 39 „Prawdy", znajduje się propozycja, dość często powtarzana, i nietylko na terenie łódzkim, a zmierzająca rzekomo do zmniejszenia bezrobocia, w swej istocie zaś będąca jego premjowaniem.

Mam na myśli zdanie: „... fundusz bezrobocia winien przyjść z pomocą w postaci pożyczek oprocentowanych i zabezpieczonych tym zakładom wytwórczym, którym brak środków obrotowych uniemożliwia utrzymanie ruchu, wzamian za zobowiązanie zatrudnienia pewnej ilości robotników".

Chcąc zanalizować powyższą tezę, musimy zróżniczkować poszczególne gałęzie przemysłu według stosunku, jaki zachodzi między ceną wyrobów danej fabrykacji, a kosztem robocizny, czyli według zawartości ceny robocizny w cenie danego wyrobu. Są bowiem towary, jak naprz. węgiel, cegła i t. p. w cenie których kryje się około 60—80 procent wypłat na robociznę. Oczywiście, że taki przemysł mógłby być uruchomionym, gdyby od rządu otrzymał zasiłek w wysokości 50 procent kosztów robocizny, bo przemysłowiec otrzymałby wtedy około 30—40 procent swego kapitału obrotowego. Jednak nikt chyba nie ośmieli się forsować produkcji naprz. cegieł, na które niema żadnych widoków zbytu nawet za lat kilka.

Przytaczam cegły tylko dla przykładu, aby zilustrować tezę, że nie można topić kapitału, tworząc zapasy towarów, na które narazie niema zapotrzebowania.

Przeważająca jednak ilość istniejących u nas w kraju fabryk pracuje na względnie drogich (w stosunku do wypłat) surowcach lub półfabrykatach. I tak naprz. w przemyśle włókienniczym robocizna stanowi około 10—20 procent ceny fabrykatu. Zachodzi tedy pytanie, w jaki sposób przemysłowiec, otrzymując nawet połowę kosztów robocizny, t. j. 5—10 procent potrzebnego mu kapitału może uruchomić swoją fabrykę? Skąd weźmie pozostałe 90—95 procent? A jeśli ma możność uzyskania tych 95 procent potrzebnego mu kapitału, wtedy 5 procent nie będzie przeszkodą dla uruchomienia jego fabryki,

Widzimy więc, że projekt p. O. Kona nie da absolutnie żadnych rezultatów... prócz powiększenia kredytów dyskontowych w Banku Polskim.

Ale nawet, gdyby całe to rozumowanie było błędne i fałszywe; gdyby w rzeczywistości można było w sposób powyższy uruchomić przemysł: nawet wtedy nie należałoby wkraczać na tę drogę. Bo przypuśćmy, że pewna grupa fabryk nieczynnych otrzyma „oprocentowane pożyczki" wzamian za zobowiązanie zatrudnienia pewnej ilości bezrobotnych, to okaże się że fabryki te znajdą się odrazu w korzystniejszych warunkach kredytowych, niż zakłady konkurencyjne, które pracy nie przerywały i przeto pożyczek tych nie otrzymały,

Oczywiście, że starałyby się te fabryki również o tani kredyt z funduszu bezrobocia i w tym celu jedna po drugiej zawieszałyby pracę, by podjąć ją, ale już z zasiłkiem rządowym. Czyli, że z biegiem czasu rząd musiałby finansować 40—50 procent kosztów robocizny całego polskiego przemysłu! Tego chyba nikt nie będzie żądał.

Pomijam tutaj już szkodliwy wpływ tych kredytów na nasz bilans płatniczy, gdyż potęgowałyby przywóz zagranicznych surowców; przywóz, nieuzasadniony zgoła potrzebami kraju, a sztucznie wytwarzany.

Reasumując, trzeba stwierdzić, że projekt ten, gdyby został urzeczywistniony, nie dałby żadnych korzyści fabrykom nieczynnym, natomiast byłby wielce szkodliwy dla kraju, stwarzając premję za zamykanie fabryk.

Jerzy Schimmel.

Co to za wystawa?

Pod protektoratem Magistratu m. Łodzi ma się odbyć w Łodzi w pierwszych dniach października wystawa gospodarczo - higieniczna. Wystawa jest imprezą jakiegoś bliżej nieokreślonego i nieznanego towarzystwa „Wystawy Polskie", Magistrat zaś spełnia rolę parawanu, mającego nadać imprezie charakter, którego nie posiada.

Towarzystwo „Wystawy Polskie" urządziło niedawno wystawę rolniczo-przemysłową w Częstochowie. I tam także umiano do roli parawanu pozyskać miejscowy samorząd i komitet honorowy, złożony z wybitnych przedstawicieli miejscowego obywatelstwa. Wystawa okazała się imprezą lichą, obliczoną tylko na zysk organizatorów. Zwabione do Częstochowy liczne wycieczki, nie miały słów oburzenia pod adresem magistratu częstochowskiego i komitetu honorowego i w rezultacie omal nie skończyło się dymisją burmistrza Częstochowy. Wystawa bowiem okazała się pułapką dla łatwowiernych wystawców i zwiedzających. Nic o niej nie wiedziały poważne organizacje rolnicze ani przemysłowe i nic z nią nie miały wspólnego. Skutkiem tego nie miała żadnej wartości propagandowej ani kształcącej, wystawców zaś prawie że nie było, oprócz kilku wprowadzonych w błąd firmą samorządu częstochowskiego i komitetu honorowego, którą to firmą bardzo hojnie szafowano w reklamie prasowej.

To samo będzie prawdopodobnie w Łodzi i dlatego samorząd łódzki winien w stosunku do wystawy zachować jak najdalej idącą rezerwę, a już całkowicie zaniechać organizowania obywatelskiego komitetu, do czego nie upoważnia czysto prywatny i zarobkowy charakter imprezy.

Przeciw samej wystawie nic nie mamy — organizowanie wystaw jest tak samo dobrym sposobem zarobkowania, jak każdy inny, ale tak samo jak Herse, organizując wystawę modeli paryskich, albo jakiś handlarz sztuki, organizując wystawę obrazów na sprzedaż, nie myśli o tem, by aranżować w tym celu komitety honorowe i szukać protektoratu instytucji o charakterze publicznym i oficjalnym, tak samo organizatorowie wystawy gospodarczo - higienicznej nie powinni tego czynić, zwłaszcza teraz, gdy weszła w życie ustawa o zwalczaniu niestosownego i niewłaściwego współzawodnictwa.

TEATR MIEJSKI w ŁODZI

„RÓŻA" Stefana Żeromshiego.

P. Gorczyński przemówił ze sceny do publiczności, czem podkreślił zamknięcie pierwszego okresu swej działalności na terenie łódzkim i rozpoczęcie drugiego. Nowem zatem i odrębnem w porównaniu z dawną praktyką łódzką jest rozpoczęcie sezonu zimowego nie bezpośrednio w chwili otwarcia podwojów teatru po przerwie wakacyjnej, lecz współrzędnie z pierwszemi chłodnemi powiewami jesieni.

Pierwszym czynem artystycznym, zapoczątkowującym pracę według bardzo obiecującego, zakreślonego przez dyrekcję w przemówieniu p. Gorczyńskiego, programu, było wystawienie „Róży" Żeromskiego w opracowaniu scenicznem pp. Horzycy i Schillera.

Autorowie układu umożliwili wprawdzie wystawienie tego dzieła, nie zdołali jednak nadać mu cech utworu scenicznego, których przez twórcę został całkowicie pozbawiony. Jakkolwiek więc z przejęciem i skupieniem słucha się tych djalogów, pełnych głębi i piękna literackiego, nie doznaje się jednak efektu napięcia, który dać może tylko żywa i zwarta akcja dramatyczna. Tej zaś niema śladu, bo nawet pełen grozy obraz III działa raczej, jak symbol i synteza. Widz nie jest zatem świadkiem jakichś wydarzeń, lecz obserwatorem ujętych w formę żywego słowa dwoistych zmagań: walki buntu z przemocą i młodzieńczego, rwącego, żywiołowego prądu nowej myśli ze skamieniałą biernością zgnuśniałego i znikczemniałego, w niewoli zrodzonego i wychowanego pokolenia. Zwłaszcza ta druga właśnie walka jest głównem źródłem wzruszeń i zadumy Żeromskiego: walka młodego hasła, głoszącego, że lepiej zginąć, niż zmarnieć, ze starczą rutyną, przekładającą spokojną wegetację nad burzliwość i ryzykowność walki.

Przed oczami widza przesuwa się dziewięć pełnych emocjonalnego, tragicznego patosu obrazów, pod wrażeniem których budzi się w jego duszy nietylko posępne wspomnienie ciężkich lat niewoli, ale i zaduma nad wielkiemi zadaniami dnia dzisiejszego i jutra...

Ale im mniej dramatycznem jest ujęcie dzieła, im mniej sceniczną jego struktura, tem trudniejszą jest rola zespołu wykonawczego.

Wykonanie „Róży" na naszej scenie przynosi zaszczyt zarówno reżyserji, jak i poszczególnym artystom.

P. Szpakiewiczowi, jako reżyserowi, udało się nadać całości pewien styl, doskonale utrafiający w środek między poziomą rzeczywistością, a wizjonerską wyobraźnią, o co tak bardzo trudno, gdy zwykli ludzie jednak nie są zwykłymi ludźmi, lecz raczej stanowią uosobienie pewnych pojęć. W obrazie III, w którym autorowi nietyle chodziło o to, co się dzieje, ile o to, dlaczego się dzieje; w V, w którym fabryka oznacza jedynie tło; w VI (bal), w którym bal stanowić ma tylko nastrój, a nie treść, reżyserja pokonała wielkie trudności dzięki nader szczęśliwym i wysoce artystycznym pomysłom. Cytujemy wprawdzie tylko kilka wybitniejszych momentów, ale dotyczy to w jednakowej mierze wszystkich obrazów.

Temu wysokiemu poziomowi, na jaki dźwignęła wykonanie utworu reżyserja, poszczególni artyści naszego zespołu odpowiedzieli pod każdym względem, wykazując chlubny pietyzm i dużą pracę zarówno w pamięciowem, jak i myślowo zgłębionem opanowaniu swoich ról. Mówili dobrze, subtelnie wyczuwając różnicę między tragicznym patosem, a teatralną szarżą. A przecież niema trudniejszego zadania dla aktora, jak dobra recytacja uduchowionej prozy literackiej. Naogół artyści nasi wywiązali się z tego szczęśliwie, wyróżnili się zaś szczególniej pp.: Woskowski, Szpakiewicz i p. Dębicka.

P. Mackiewicz swojemi dekoracjami doskonale pomógł reżyserji w nadaniu wykonaniu pożądanego stylu, zdradzając zarówno głębokie wyczucie własne, jak i zrozumienie doniosłości sharmonizowanej współpracy z reżyserją.

Dzięki tym zaletom spektakl inauguracyjny uznany być musi za zewszechmiar udany i rokujący jak najlepsze nadzieje.

emb.

Prosimy o wpłacanie prenumeraty.

FELJETON TYGODNIOWY

POCHÓD NA WAWEL

Zaprowadził mnie do swojej mrocznej pracowni. Była to ogromna hala, tonąca w cieniu, tak, że widziałem tylko niewyraźne zarysy jakiejś rzeszy postaci.

— Zanim zaświecę światła — rzekł rzeźbiarz — muszę uprzedzić pana o zmianach, jakie zaszły w początkowym projekcie mojego „Pochodu na Wawel". Miałem zamiar stworzyć dzieło monumentalne, o głębokiem podłożu. Licząc się jednak z tem, że podobnie jak „Pochód na Wawel" Szymanowskiego i mój „Pochód" gniłby gdzieś w pakach rupieciarni artystycznej i musiałbym jeszcze od niego płacić składowe, zmieniłem plan i postanowiłem wyrzeźbić parodję. W „Pochodzie" moim miał wziąć udział cały świat literacki i naukowy Krakowa. Od najstarszych do najmłodszych — pan też tam figuruje.

Zrobiłem wątpliwie mądrą minę i tak zresztą niewidoczną w ciemnościach, a on mówił dalej:

— Naturalnie, mieli to być tylko ci, którzy do dziś dnia w Krakowie działają, a nie ci, co zupełnie umilkli lub przenieśli wielkie targowisko Warszawy nad zacisze smutnego Krakowa. Ale tu plan mój po raz drugi zmieniłem. Wyrzeźbiłem tylko świat literacki. Naukowego nie rzeźbiłem.

— Dlaczego?

— Mam do tego swoje powody, w których gra główną rolę moja ambicja twórcza...

— Ach — domyśliłem się dziwnie prędko — uznał pan zapewne, że naukowcy krakowscy po większej części są już gotowemi posągami, jednolicie ulanemi.

— Tak. Domyślił się pan. Mój więc „Pochód na Wawel", ten, który pan ujrzy za chwilę, przedstawia wyłącznie świat literacki naszego podwawelskiego miasta. Teraz możemy uczynić światło.

Oddalił się w stronę kontaktu elektrycznego. Za sekundę rozbłysły wielkie lampy u sufitu i ze ścian. Hala zalana została światłem. Gdy spojrzałem — spadł na mnie taki ogrom wrażenia, że conieco usiadłem na prostym stołku, ryzykując bliższe zetknięcie się z gliną, którą był oblepiony.

— Ha! co?! — mówił zadowolony artysta, z zainteresowaniem i dumą śledząc grę mojej twarzy, którą starałem się uciszyć bielą chustki od nosa. — Wrażenie! co?

Gdy ochłonąłem, powstałem, z niejakim trudem odłączając się od stołka i podszedłem, wiedziony przez mistrza, ku ogromnym postaciom, zastygłym w ruchu, w świetnej mimice, z wybitną charakteryzacją, tak, że niektóre poznałem odrazu. Były one uszeregowane w pochód, to gęsiego, to po dwie, to znów całą gromadą.

— Objaśnię panu kolejno. Zaczynamy od pierwszej postaci.

— Karol Hubert Rostworowski! — zawołałem, patrząc na wyniosłą, ascetyczną postać na koturnach, pochyloną w gwałtownym geście.

— Tak — odrzekł — a ten za nim — to jego Antychryst, czyli Franciszek-Xawery Pusłowski. Jak pan widzi, ciemna ta postać ciągnie swego poprzednika za kraj surduta w kierunku kupki gazet. Kupka ta — to jednorazowy nakład „Głosu Narodu". Ale Rostworowski nie chce wracać. Patrzy naprzód, przed siebie. — Lecz idźmy dalej. Te cztery postacie, przebijające się z trudem przez zasieki, które mają oznaczać współczesność, to pochylony w szukaniu swej sławy Maciej Szukiewicz, ubrany w zgrzebną siermięgę Józef Wiśniowski, z Parnasem pod jedną pachą, a pod drugą z kawałkiem nieba włoskiego Jan Pietrzycki i wreszcie — ten w kaloszach, niemrawie stojący w błocie, pod parasolem —

— Antoni Waśkowski, naturalnie! — zawołałem. — Czyż wilgoć ta, którą pan otoczył tę postać, niema przypadkiem przedstawiać rozlewnej jego twórczości lirycznej?

— Zgadł pan!

— Ale co znaczą te kamienie wokoło niego?

— Niech pan spojrzy do góry!

Spojrzałem, zobaczyłem i zdębiałem.

Na powale, tuż nad parasolem ostatniej postaci, jakby w obłokach widniało kilkanaście głów i podniesionych rąk, z których każda trzymała kamień.

— Co to znaczy?

— Są to niektórzy zbawieni już poeci, ze Słowackim na czele, którzy w ten sposób oznajmiają swój stosunek do brata swego po Apollinie...

— Teraz rozumiem! — Idźmy dalej.

Następna figura siedziała w wielkiej balji, ozdobionej reprodukcjami monet polskich od 1919 roku począwszy. Balję ciągnęło mnóstwo karlików. Trudno było rozeznać ich twarze.

— Te karzełki — to różnonarodowi laureaci Nobla. Ciągną oni —

— Mirandolę! Lecz cóż on trzyma oburącz?

— Dwutomowy słownik niemiecko - polski. Rzecz niezbędna do tłumaczenia z oryginałów wszystkich narodów europejskich i azjatyckich... — Proszę dalej. Tu widzi pan sześcian, szczelnie zwarty, lecz mogę pana zapewnić, że siedzi tam także postać. Jest to Feliks Płażek w czterech ścianach swej ewangelicznie cichej samotności, starający się o to, żeby nikt o nim nic nie wiedział.

Gdy minąłem sześcian glinowy, cofnąłem się nieco przestraszony. Z za bryły wyjrzało na mnie dzikie oblicze jakiejś bestji.

— Niech się pan nie boi. Po pierwsze, że to nieżywe, a po drugie, że to zwykły pies, Burek. Między kudłami jego na grzbiecie —

— Widzę, widzę! Człowiek z rozczochraną głową! Jan Wiktor! — Ale kto tam za nim? wisi prawie w powietrzu — ach, wiem już, wiem, to Leon Chwistek!

— Tak, opuszczony przez towarzyszy futurystycznej broni, został sam jeden i trochę wisi w powietrzu. Wyrzeźbiłem go streficznie. A teraz grupa kobieca. Tylko cztery. Te dwie w pierwszej parze, trzymające się pod rękę — to lirycznie zamyślona, pełna pocałunków —

— Marja Pawlikowska i rozhukana Magdalena Samozwaniec! Poznaję! A ta postać za niemi?

— To Jan Powalski. Pod tym pseudonimem ukrywa się zdolna powieściopisarka.

— No tak, profesorowa —

— Cyt! jak pseudonim, to pseudonim. A ta czwarta — to Michalina Janoszanka, która śpiewa litanję do św. Tereni na tle kościoła św. Anny. Skończyła z ładnem malarstwem. Płodzi poezje, nowele i portrety św. Tereni... A ta banda w tyle — to młodzi. Tu pan pozna wszystkich.

Rzeczywiście byli tam wszyscy prawie. Szedł jakoś dziwnie Hisko za pobożną aureolą poprzedniczki, Józef Aleksander Gałuszka z gwiazdą komandorji na piersiach, szedł schylony jak narcyz nad ruczajem Jan Szłandynger, szedł obrośnięty Tadeusz Peiper, przychwycony na gorącym uczynku nastawiania zwrotnicy kawałka szyn, na których stał, na dawny tor, nowa bowiem linja zajęta była jakimś dziwnym grzybem, wyrastającym ponuro. Rozpoznałem po chwili — był to Julian Przyboś. Za Peiperem szedł z podniesioną głową i z listem ze znaczkiem włoskim w kieszeni młodzian, trzymając w ręku tablicę na drążku, jak chłopcy wysłani na miasto z reklamą programu kinowego. Na tablicy widniało zdanie: „Ja jestem Jalu Kurek, altissimo poeta et powieściopisarza". Za nimi, kończący „Pochód", szli zwartą ławą członkowie „Litartu", niosąc bez niczyjej pomocy ogromny posąg „Gazety Literackiej".

— Wspaniałe stworzył pan dzieło — mówiłem, przechodząc jeszcze raz z podziwem koło wielkich figur. — Jest to cały Kraków literacki dnia dzisiejszego.

(Kraków).

Witold Zechenter.

Rynek pieniężny i giełda

Zatarg rządu z sejmem i kilkudniowe przesilenie rządowe prawie zupełnie na pogorszenie się naszej sytuacji walutowej nie oddziałało. Dolary podniosły się wprawdzie na rynku prywatnym przejściowo z 8,99 i pół na 9,03, spadły jednak wkońcu na 9,01. I ten kurs ostatni tłumaczy się raczej znacznym popytem na waluty ze strony sfer gospodarczych, aniżeli zaniepokojeniem wskutek spraw związanych z polityką wewnętrzną. Trzeba jednak dodać, że prócz sfer gospodarczych, kupują dość wielkie ilości dolarów kantory wymiany i spekulanci, którzy w ten sposób chcą zabezpieczyć (przed ewentualnym spadkiem), gotówkę, uzyskaną z realizacji akcyj. Jest rzeczą zrozumiałą, że z chwilą rozpoczęcia się gry zwyżkowej na efekty giełdowe, nastąpi znowu natychmiastowa realizacja dolarów, która kurs ich odpowiednio obniży. Ruble złote, które w poprzednim tygodniu wykazywały tendencję słabą — ostatnio znowu się wzmocniły. Notowano je 4,88 i pół, co przy wysokim parytecie 54,20 odpowiada stosunkowi 9,01 za jeden dolar.

Obrót na giełdzie oficjalnej był bardzo znaczny, gdyż wynosił początkowo przeszło 500, później przeszło 400 tys. dolarów dziennie.

Głównym odbiorcą dewiz był przemysł włókienniczy, który wskutek licznych zamówień zwiększył poważnie produkcję i musi wobec tego sprowadzać z zagranicy znaczne partje surowca i chemikalij, za które płaci w walucie obcej.

Wzrost zapotrzebowania na waluty nie jest wcale objawem niepokojącym, jeśli się weźmie pod uwagę, że wrócą one po części do kraju, jako zapłata za dostarczony towar gotowy. Pozatem zaś wpływa z wywozu węgla, drzewa, cementu, ziemiopłodów etc. tak znaczna ilość walut, że pokrywają one w zupełności stały odpływ. Jedynym oddawcą walut na giełdzie oficjalnej był w ubiegłym tygodniu Bank Polski, który przydzielał je bez jakichkolwiek ograniczeń. Banki prywatne wskutek kilkupunktowego rozpięcia między oficjalnym a prywatnym kursem dolarów, wstrzymały się naogół od sprzedaży walut. Dewizy na New-Jork notowano bez zmiany 9,00, dolary w gotówce 8,97.

Z dewiz europejskich uzyskał bardzo poważną zwyżkę Medjolan, inne naogół zmian nie wykazały. Kurs złotego na rynkach zagranicznych kształtował się nieco niżej.

* * *

Bilans Banku Polskiego z 20 września br. wykazał wzrost zapasu walut i dewiz zaledwie o 1,3 milj. złotych do sumy 115,242,000 zł. Zapas złota obniżył się nieznacznie do kwoty 135,847,850 zł. Tak minimalny wzrost zapasu walut tłumaczy się przedewszystkiem wielkim ich odpływem na potrzeby przemysłu i handlu (Bank Polski dawał dziennie przeciętnie 400 tys. dolarów) jako też znacznemi płatnościami zagranicznemi, wynoszącemi kilka miljonów. Pokrycie banknotów netto w walutach i złocie utrzymało się na wysokim poziomie 42,8 proc. Obieg biletów bankowych podniósł się o 1,707,000 zł. do sumy 544,692,580 zł. Portfel wekslowy spadł o 5,5 milj. do sumy 305,939,482 zł., pożyczki zabezpieczone papierami wzrosły natomiast o drobną kwotę 159 tys. złotych do sumy 27,2 milj. złotych. Rachunki żyrowe i inne zobowiązania podniosły się o 14,7 milj. zł. i wynoszą obecnie 151,693,967 zł.

* * *

Na rynku akcyj i papierów procentowych dała się zauważyć silna depresja, spowodowana w znacznej mierze zawikłaniami wewnętrznemi. Spekulanci z partji t. zw. „baissistów" znajdujący się w przeważającej ilości, starali się każdą pogłoskę i wiadomość wykorzystać dla swych celów; wskutek silnej realizacji akcyj przez wspomnianych spekulantów poniosła większa część papierów giełdowych dotkliwe straty. Zamiary spekulacji są w tym wypadku przejrzyste. Chce ona wykupić akcje po niskiej cenie, ażeby potem w „haussie", która bezwątpienia wkrótce nastąpi, porządnie się obłowić.

Banki w tranzakcjach akcyjnych prawie udziału nie brały. Brak było również zleceń ze strony publiczności, która doznawszy niedawno nowego rozczarowania, straciła resztki zaufania do papierów giełdowych.

Obroty na giełdzie akcyj w ubiegłym tygodniu znacznie się zmniejszyły. Interesowano się tylko najpopularniejszemi papierami grupy metalurgicznej jak „Starachowice", Ostrowieckie, Rudzki, Modrzejów i Lilpopy.

Z bankowych robiono wielkie obroty akcjami Banku Polskiego oraz po części akcjami Banku Dyskontowego. Ze względu na to, że w najbliższych już dniach ma być zatwierdzony projekt ustawy ustalającej, że podatek giełdowy od tranzakcyj akcjami wynosić będzie 2 proc. zamiast dotychczasowych 8,8% (dla firmy handlowej) — o czem pisaliśmy obszerniej na tem miejscu w numerze z dnia 19 września, wyrażają sfery giełdowe nadzieję, że obrót znacznie się zwiększy a gros tranzakcyj przeniesie się z rynku prywatnego na giełdę oficjalną.

Papierami państwowemi w okresie sprawozdawczym mało się interesowano. W Dzienniku Ustaw Nr. 96 ogłoszono rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie konwersji zobowiązań Skarbu Państwa z tytułu pożyczek państwowych z lat 1918—1920. Jednocześnie rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej ustalono emisję 5% Pożyczki Konwersyjnej na 150 milj. złotych. Umorzenie obligacji tej pożyczki nastąpi do dnia 2 stycznia 1945 roku drogą przedterminowego wykupu lub losowania półrocznie 2 stycznia i 1 lipca każdego roku, począwszy od dnia 2 stycznia 1927 r.

* * *

Czynniki rządowe noszą się podobno z zamiarem waloryzacji wszystkich zobowiązań prywatno-prawnych z okresu dewaluacji złotego w 1925 r., a mianowicie długów hipotecznych, niezapłaconych weksli, rachunków otwartych i t. d. Waloryzacja byłaby oparta na parytecie złotym i miałaby moc ustawy.

Awil.

NOWA USTAWA PRZEMYSŁOWA.

Zastrzeżenia Ligi Pracy.

Wobec zamiaru rządu wydania, na zasadzie pełnomocnictw Semu, nowej ustawy przemysłowej, która ujednostajniłaby ustawodawstwo, dotyczące przemysłu, handlu i rzemiosł, na terytorjum całej Rzeczypospolitej, — Liga Pracy, mająca na celu wzmożenie sprawności gospodarczej państwa polskiego, — wypowiada się za takiem ujęciem w ustawie spraw przemysłu, handlu i rzemiosł, które odpowiada zasadzie wolności przemysłowej, będącej obecnie podstawą dobrobytu społeczeństw i narodów.

Wykonywanie przemysłu, handlu i rzemiosła winno być rzeczywiście wolne, dozwolone każdemu i nie obciążone ani ograniczeniami, ani trudnościami. Tymczasem ustawa, opracowana przez rząd, zawiera liczne ograniczenia i utrudnienia: przewiduje przedsiębiorstwa i warsztaty koncesjonowane przez władze, zatwierdzone w skomplikowany sposób i zezwalane pod warunkiem udowodnienia zawodowego uzdolnienia.

Wtedy, gdy próżniactwo w Polsce nie podlega żadnym ograniczeniom prawnym, — organizowanie pracy wytwórczej napotyka na liczne utrudnienia przewidziane ustawą. **Jest to sprzeczne z Konstytucją polską, zapewniającą każdemu obywatelowi wolność wyboru zawodu i zarobkowania.**

Zapewnienie ludności całego państwa wolności przemysłowej, która jest do dziś udziałem dzielnic b. zaboru niemieckiego i rosyjskiego i która dopuszcza ograniczenia jedynie podyktowane interesem państwa, bezpieczeństwem publicznem lub troską o zdrowie ludności, — przyczyni się do rozwoju życia gospodarczego, gdy rozszerzenie ograniczeń, istniejących dziś jeszcze w b. dzielnicy austrjackiej na całą Polskę, tłumić będzie to życie.

Liga Pracy, jako instytucja społeczna, nie reprezentująca niczyich interesów, poza ogólnemi, ma nadzieję, iż jej opinja w sprawie ustawy przemysłowej zgodną będzie z poglądami rządu, reprezentującego interesy całego społeczeństwa.

NIEDZIELA NIE JEST DNIEM ODPOCZYNKU.

Szwajcarski organ handlowców „Schweizerisches Kaufmännisches Zentralblatt" drukuje w numerze z 17 września 1926 roku artykuł wypowiadający się za powiększeniem ilości wolnych od pracy dni przez wstrzymanie pracy w każdy poniedziałek, co podobno praktykuje się w pewnych okolicach francuskiej Szwajcarji.

Żądanie to motywuje się tem, że niedziela jest dniem przeznaczonym na modlitwę, a nie na odpoczynek i że kościół zawsze uznawał dzień następujący po każdej niedzieli i święcie za dzień odpoczynku, za święto o charakterze świeckim, podczas gdy pierwszy dzień jest świętem ściśle kościelnem. Jako dzień modlitwy, niedziela nie może być spędzona tak, jak się spędza zwykły dzień odpoczynku, słusznem więc jest, by na właściwy odpoczynek przeznaczony był inny dzień.

Artykuł ten gorąco polecamy naszym reformatorom społecznym. Kto wie, może sejm nasz uchwaliłby taką ustawę.

FETYSZ POLITYCZNY

Organizm ludzki składa się z wielu części, i odbywają się w nim liczne procesy, ale stanowi on jedną całość, i pomiędzy temi częściami i procesami zachodzą ścisłe związki. Stan jednej części odbija się na stanie innych, zaburzenia w jednym procesie życiowym wywołują zaburzenia w innych. Ta solidarność różnych części organizmu oraz różnych procesów życiowych ogromnie utrudnia zadanie lekarza. Uwaga jego zwraca się głównie na zmiany patologiczne, które nastąpiły w pewnym określonym organie, lecz obmyślając środki lecznicze, musi liczyć się z tem, jaki wpływ te środki wywrą na całość organizmu. Nieraz środek, który mógłby radykalnie usunąć dane cierpienie, nie nadaje się zupełnie, gdyż oddziałałby zgubnie w innym kierunku. Najprostszym i najpewniejszym środkiem obniżenia temperatury ciała byłoby wsadzić chorego do wanny z lodem, lecz taka kuracja byłaby zabójcza.

Społeczeństwo ludzkie jest pod różnemi względami podobne do organizmu, i to podobieństwo ułatwia w dużym stopniu orjentowanie się w zjawiskach społecznych. Społeczeństwo, jak organizm, składa się z poszczególnych części lub organów, któremi są różne instytucje lub grupy ludności, i w społeczeństwie odbywają się ustawicznie różne procesy, jak produkcja bogactw, wymiana bogactw, szerzenie oświaty i t. d. I społeczeństwo na podobieństwo organizmu stanowi jedną całość, a jego części oraz zachodzące w niem procesy pozostają w ścisłych związkach. Zmiany, które wystąpiły w jednej części, wywołują zaburzenia w innych. Solidarność różnych części społeczeństwa ludzkiego jest nie mniejsza niż w organizmie. Z postępem, w miarę doskonalenia się komunikacyj i rozwoju specjalizacji zajęć, ta współzależność organów społecznych wzrasta. Społeczeństwo staje się organizmem coraz bardziej zwartym.

Tak ścisła solidarność elementów składowych społeczeństwa ludzkiego ogromnie utrudnia sztukę rządzenia krajem, gdyż każda ustawa lub rozporządzenie władz odbija się nietylko na tej sferze stosunków ludzkich, której bezpośrednio dotyczy, lecz zawsze wywołuje skutki dalsze nieraz doniosłe, a nieprzewidziane. Jest to tylko początek fali, która, wywołana w jednej dziedzinie, rozchodzi się stopniowo coraz dalej i dalej. Ustawodawca lub rządca kraju powinien liczyć się z temi dalszemi skutkami podobnie, jak lekarz musi liczyć się z wpływem jego zabiegów na całość organizmu.

Ale tu właśnie dostrzegamy głęboką różnicę między temi dwiema dziedzinami, gdy bowiem lekarze są na ogół całkowicie świadomi ścisłej współzależności różnych elementów składowych organizmu, to analogiczna świadomość wśród polityków należy do bardzo rzadkich wyjątków. Przewidują oni najczęściej tylko bezpośrednie skutki ustawy, dostrzegają tylko jedną, nieraz najmniej ważną stronę sprawy. Skutki dalsze zazwyczaj całkowicie uchodzą ich uwagi. Wynikają stąd ogromne szkody, a niekiedy rzecz dochodzi do jawnego absurdu, bo następstwa są wprost odwrotne do zamierzonych. Papież Juljusz II powiedział: **„An nescis, mi fili, quantula sapientia mundus gubernetur"** (Czyż niewiesz, mój synu, jak drobniutka mądrość rządzi światem?). Bastiat w szeregu świetnych szkiców wykazał naiwność rozpowszechnionych sądów ekonomicznych, stanowiących credo polityków **(Ce, qu' on voit, et ce, qu' on ne voit pas)**, a Spencer z właściwą sobie gruntownością odmalował wprost nieprawdopodobne błędy prawodawców angielskich **(The sins of legislators).**

Ale nie mamy potrzeby jeździć do Anglji po ilustracje krótkowzroczności rządców i prawodawców. W ciągu ośmiu lat niepodległego bytu nagromadziliśmy nieprzebrane ilości tego materjału i to materjału pierwszej klasy. Wystarczy nietylko na własne potrzeby, lecz i na eksport. Oto parę przykładów pierwszych z brzegu:

Zarząd stołecznego miasta Warszawy pragnie przyjść z pomocą bezrobotnym i w tym celu nakłada podatek na jeżdżących tramwajami po pięć groszy od biletu. Kalkulacja prosta. Czterech pasażerów płaciło dotychczas 60 gr. (po 15 gr. za bilet), teraz zapłaci 80 gr. Z tego tramwaje otrzymają 60 groszy, jak dawniej, a 20 gr. pójdzie na bezrobotnych. Niestety przed duchowym wzrokiem naszych gospodarzy chytrze ukryła się pewna drobna okoliczność, która przekreśliła ten mądry rachunek. Mianowicie liczba osób, które korzystają w ciągu doby z komunikacji tramwajowej, zależy od ceny biletu, albo, używając słownictwa matematycznego, jest funkcją ciągłą i malejącą ceny. Im wyższa cena, tem mniej pasażerów. Zamiast czterech pasażerów, którzy jechali, gdy bilet kosztował 15 gr., zgłasza się tylko trzech, gdy bilet kosztuje 20 gr. Ci trzej pasażerowie płacą tę same 60 gr., co dawniej czterej, z tego bezrobotni otrzymują 15 gr., a tramwajom pozostaje 45. Ten sam wynik można było osiągnąć w prostszy i lepszy sposób. Należało pozostawić dawną cenę, a bezrobotnym oddawać część dochodu tramwajów. W ten sposób tramwaje zarabiałyby tyleż, co dziś, a część ludności Warszawy, właśnie część najuboższa, nie zostałaby pozbawiona dobrodziejstw komunikacji tramwajowej.

Dobitniejszym i ważniejszym przykładem krótkowzroczności w sprawach publicznych jest walka z drożyzną, która od ośmiu lat trapi nasz kraj nieszczęsny. Administrator, walczący z drożyzną, ma wyrachowanie proste. Jeżeli ceny wszystkich towarów i usług obniżą się do połowy, to każdy człowiek, który ma dziś, dajmy na to, 300 złotych dochodu miesięcznego, będzie żył tak, jakby miał 600, będzie lepiej się odżywiał, ubierał, mieszkał i t. d. Wynik, co się zowie, piękny i osiągnięty tanim kosztem, bo kosztem tylko pewnych ustaw, czy rozporządzeń.

Niestety wchodzi tu w paradę pewna okoliczność, na którą pogromcy drożyzny uporczywie zamykają oczy, to mianowicie, że owo upragnione obniżenie cen obniżyłoby nietylko wydatki obywatela, ale i jego dochody. Gdyby owe marzenia stały się ciałem, to musiałby on zadowalać się dochodem 150 zł. i w rezultacie nicby na całej aferze nie zyskał.

Tak więc nawet ziszczenie rojeń ministerjalnych nie sprowadziłoby wcale oczekiwanych skutków, lecz niestety rzeczywistość jest stokroć gorsza. Ceny różnych dóbr, które figurują na rynku stawiają bardzo niejednakowy opór rozporządzeniom władz. Jedne reagują na nie silniej inne słabiej. Tak naprz. ceny mieszkań, czyli komorne, kapitulują niemal bez oporu, gdy natomiast ceny ubrań nie wiele sobie robią z najsurowszych dekretów. Naturalnie władze okazują swą gorliwość głównie na tych pierwszych, i to niejednakowe traktowanie różnych dóbr wywołuje ogromnie szkodliwe, a dla miarodajnych polityków całkiem nieoczekiwane, powikłania. Jeżeli udało się istotnie zapomocą środków policyjnych obniżyć cenę pewnego dobra, gdy inne ceny pozostały bez zmiany, to nieuchronnem następstwem jest zmniejszenie produkcji tego dobra. Im niższa cena, tem mniejsza produkcja. Jest to prawo równie niezłomne, jak prawa fizyczne, i żadne ustawy ani żadne kary nic na to nie poradzą. Gdy zmniejszy się produkcja, to oczywiście potrzeby ludności w danym kierunku będą zaspokajane gorzej, bo ludność koniec końców może spożyć tylko to, co wytworzy.

Listy z Londynu

Prof. W. Caldwell o Polsce.

Londyn, we wrześniu.

Interesującym i rzeczowym głosem o Polsce, który ukazał się na łamach „Sunday" Times", to artykuł członka kanadyjskiego uniwersytetu Mac Gill'a, prof. W. Caldwell'a.

Bawił on kilkakrotnie w Polsce, zaś obecne jego uwagi oparte są na spostrzeżeniach, zebranych już po wypadkach majowych, więc pod tym kątem widzenia zasługują na specjalną uwagę.

Prof. Caldwell stwierdza na wstępie — jak zresztą szereg innych badaczy pozamachowych stosunków polskich — że Polska osiągnęła postęp bardzo znaczny, a to głównie dzięki zrównoważeniu budżetu i kursu złotego. Marszałek Piłsudski nie zniszczył parlamentarnej formy rządu, dał jej tylko nową siłę i dyrektywę. Jego moralny wpływ nie da się w tym związku zaprzeczyć, tembardziej, że polityczne elementy państwa były rozbite na dwanaście różnych partyj, z których żadna nie mogła osiągnąć wystarczającej większości dla rządzenia. Twierdzenie zatem, że rządy jego są autokratyczne i reakcyjne, nie odpowiada prawdzie. Wierzy on natomiast, że przyszłość kraju leży w jego niespożytej sile duchowej, w sposobie, w jaki siła ta się ucieleśni. *Marszałkowi Piłsudskiemu zawdzięcza również Polska,* pisze dalej prof. Caldwell, *uśmierzenie bolszewickich alarmów i spisków,* a zaprzecza wyraźnie, jakoby Polska była przepojona duchem militaryzmu. Celem marszałka jest jedynie pobudzenie Polski do własnego państwowo-twórczego wysiłku. W tym celu pragnie on oraz rząd p. Bartla utrzymywać przyjazne stosunki ze wszystkimi sąsiadami i, o ile możności, z nimi współpracować. Wprawdzie Polska zmuszona jest utrzymywać wielką armję, lecz czyni to bardzo oszczędnie, ponieważ wie, że pieniądze potrzebne jej są dla ekonomicznego rozwoju.

Interwiew z marszałkiem Piłsudskim zrobił na gościu kanadyjskim bardzo silne wrażenie. Jest on „remarcable personality". Życie rozpoczął jako socjalista i jest uważany za przywódcę ludu, aczkolwiek z urodzenia jest szlachcicem. Godnem jest uwagi, że unika blichtru i ostentacji. Ma pogardę dla blagi i konwencjonalności, i *jedyna rzecz, która go absorbuje — to zapewnienie dobrobytu krajowi.*

W rozmowie z panem Caldwellem wyraził się marszałek z wielkiem uznaniem dla polskiego chłopa, który tyle dla Polski zdziałał od 1914 roku, i nie miał słów pochwały dla Polek za ich pracę i poświęcenie dla sprawy polskiej. „One to są w pewnym sensie aniołami-stróżami ducha narodu" — było zdanie marszałka.

Gość nasz widział się również z panem ministrem Zaleskim, którego uważa za bardzo interesującą osobistość. Twierdzi on, że pan Zaleski zrobił bardzo dobre wrażenie w Genewie. „Ciekawem jest zanotować", pisze, „że jest on byłym uczniem londyńskiej szkoły nauk politycznych". Przekonania jego są nawskroś pacyfistyczne i pragnie on szczerze porozumienia z Niemcami.

O prezydencie Mościckim wyraził się również prof. Caldwell z wielkiem uznaniem jako o człowieku najlepiej odpowiadającemu swemu wysokiemu stanowisku. Marszałek dobrze zrobił, desygnując go na prezydenta, ponieważ jest to człowiek o umyśle realnym, co daje rękojmię, że egzekutywa i praca administracyjna potoczą się normalnym celowym torem bez przeszkód i niezależnie od układu sił politycznych w sejmie. „Marszałek Piłsudski, jako patrjota, *podniósł więc ogromne zadanie narodowego odrodzenia ponad kurz partyjnych kłótni.* Ponad wszystko jest on ogromną moralną siłą, pracującą po stronie prawdziwej i celowej organizacji kraju" — kończy swój interesujący wywiad profesor Caldwell.

Tego rodzaju ocena z ust cudzoziemca, w dodatku z za oceanu, ma tem większe dla nas znaczenie, że nie możemy doszukiwać się w niej *żadnych politycznych motywów, ani wątpliwej wartości propagandy.* Zdobył się na nią człowiek bezstronny, niepragnący przypodobać się tej lub owej koterji, a tem mniej „robić" jakąś politykę. Uwagi więc Sir G. Frasera, odnośnie motywów tego kroku, powinny znaleźć tu najszersze zastosowanie (vide „Prawda Nr. 38). Co do poprawy gospodarczej, to zagranica wie, że podwaliny pod nią zbudowali w znacznej mierze poprzednicy obecnego rządu, zdaje sobie jednak sprawę, że rezultat prac obecnego rządu jest bardzo dobroczynny, pomimo niepomyślnych konjunktur.

* * *

Zbliżenie francusko-niemieckie.

*Można rzec śmiało, że jako bezpośredni rezultat wejścia w życie umów locarneńskich z chwilą wstąpienia Niemiec do Ligi Narodów, wytworzyła się nietylko nowa sytuacja europejska, przekreślająca dotychczasowe rozgrupowanie państw europejskich na zwycięskie i zwyciężone, i że formują się nowe ugrupowania międzynarodowe, które mogą bardzo poważnie zaważyć na całym ustroju zarówno Europy, jak i Ligi Narodów.

Mam tu na myśli *porozumienie ekonomiczne między francuskiemi syndykatami rudy żelaznej i niemieckiego nadreńskiego węgla.* Że tego rodzaju porozumienie musi z natury rzeczy pociągnąć za sobą polityczne zbliżenie, na to godzą się światłe umysły francuskie. Zatriumfowałaby przytem zasada, wygłoszona kiedyś przez Napoleona III, a w czasie i przed wojną przez p. Caillaux. Oczywiście prasa angielska jest tym obrotem rzeczy zaalarmowana, jeżeli umie się czytać „między wierszami" jej potężnych organów. Oznaczałoby to bowiem, że angielskie gwarancje terytorjalne, udzielone Francji i Niemcom w Locarno byłyby zbędnemi, co zkolei odebrałoby Anglji wygodną i korzystną rolę arbitra między temi, od tylu setek lat skłóconemi, narodami. Pozatem nie odpowiadałoby to ambicji politycznej John Bull'a, który pragnąłby nadal w Europie przewodzić i czerpać stąd kolosalne zyski, a z drugiej strony musiałaby zbankrutować zasada równowagi sił, której od czasów Henryka VIII Anglja hołduje. Blok francusko-niemiecki, obejmujący 120 miljonów ludności, wysoce kulturalny i uprzemysłowiony, stanowiłby dla Anglji, dla jej węgla i eksportu oraz całej hegemonji ekonomiczno-finansowej, twardy orzech do zgryzienia.

Narazie niema jeszcze mowy o takim bloku, rozmowy jednak p. Briand'a z p. Stresemanem w Thoiry nasuwają Anglikom przypuszczenie, że coś się dzieje bez ich wiedzy, a więc na szkodę ich interesów. Sytuacja jest tem więcej dla nich skomplikowana, że Niemcy wysunęły w Genewie projekt odzyskania utraconych kolonij, co oznaczałoby, że jedno z państw, które jej dawne kolonje posiadło, musiałoby je pod pewnemi warunkami zwrócić. Takiem państwem musiałaby być, rzecz jasna, Anglja, jeżeli porozumienie francusko-niemieckie osiągnie wszystko to, co po niem wolno się spodziewać. Należy jednak wątpić, czy Anglja, uprawiająca politykę imperjalizmu i prestiżu w kolonjach, zgodziłaby się bez walki i bardzo grubego okupu na ustąpienie piędzi ziemi ze swych nowych zdobyczy wojennych. W związku z tem warto baczniej śledzić kolonjalną politykę Mussoliniego, który, zdaje się, nic w tym kierunku bez wiedzy Anglji nie robi.

Teoretycznie biorąc, porozumienie francusko-niemieckie miałoby dla Polski pewne pozory niebezpieczeństwa ze względu na znane rewizjonistyczne plany Niemiec we wschodniej Europie, co do tego jednak, jak się wyraził w rozmowie ze mną pewien wybitny dyplomata francuski, jeżeli chodzi o „politique pure", to *Francja nie zapomni, że jej bezpieczeństwo nie kończy się nad Renem, lecz nad Wisłą.*

Stefan Kleczkowski.

Tak więc zabiegi władz doprowadzają na tem polu do wyników wprost sprzecznych z zamiarami. Zamiast spodziewanej obfitości sprowadzają niedostatek. Gdyby kto miał jeszcze pod tym względem najlżejsze wątpliwości, to niechaj sprobuje wynająć mieszkanie w Warszawie. Zrozumie wówczas do czego doprowadziła na tem polu tak zwana walka z drożyzną, czyli ochrona lokatorów.

Minister, którego ideologja ekonomiczna pozostała wtyle za współczesną wiedzą o jakie dwieście do trzystu lat, uważa za nieszczęście, gdy towary zagraniczne przychodzą do kraju, a pomyślność upatruje w wywozie towarów krajowych, podnosi więc niebotycznie stawki celne celem zmniejszenia przywozu. I znowu staje na zawadzie pewna przeoczona okoliczność. Przywóz i wywóz bardzo ściśle zależą jeden od drugiego. Są to jakby dwie strony jednej kartki papieru. Gdy odetniemy jedną stronę, to jednocześnie odcinamy i drugą. Gdy skutkiem wysokich ceł zmniejszy się przywóz, to jednocześnie zmniejszy się i wywóz. Taka jest natura rzeczy, i żadne środki ani administracyjne, ani ustawodawcze nic na to nie poradzą. Następstwem wzmiankowanych zarządzeń musiało być skurczenie się handlu zagranicznego wogóle z wielką szkodą dla gospodarstwa krajowego.

Inny minister, a może i ten sam, boleje nad tem, że złoty spada, i przypisuje to przykre zjawisko niedobrym ludziom, którzy wymieniają złote na dolary. W tem zmartwieniu przychodzi mu świetny a nader prosty pomysł. Należy tak podatkami zrujnować obywatela, aby ten z braku środków wyrzekł się wzmiankowanych operacyj finansowych. Pomysł ten w znacznym stopniu został zrealizowany, ale doświadczenie wywiodło na jaw pewną całkiem nieprzewidzianą okoliczność, mianowicie, obywatel zrujnowany wprawdzie nie kupuje dolarów, lecz również nie płaci podatków.

Ten sam minister zapragnął przyjść z pomocą obszarnikom, którzy po wojnie bardzo narzekali na złe czasy, co zresztą czynili i przed wojną. W tym celu skasował długi przedwojenne, albo obniżył je do czegoś całkiem śmiesznego. I znowu pomysł był kapitalny, lecz niestety nasz mąż stanu zapomniał, że w kraju, w którym niema obowiązku spłacania długów, nie może być i kredytu. Dziś ci sami właściciele ziemscy, na których spadło takie błogosławieństwo, żałośnemi głosami wołają o kredyt, jak konający z pragnienia o wodę.

Przykłady te możnaby mnożyć bez końca. Książka Zielińskiego o naszych ministrach skarbu, nazwana w „Prawdzie" historją z tysiąca i jednej nocy, zawiera wiele materjału, lecz bynajmniej nie wyczerpuje przedmiotu. Wszędzie ta sama krótkowzroczność, wszędzie zwalczanie djabła Belzebubem, wszędzie działacz polityczny, dzierżący w ręku władzę, postępuje, jak ów lekarz, który chorego w gorączce wpakował do wanny z lodem.

Nie trzeba mniemać, że taka krótkowzroczność jest specjalnie polską wadą. Tak samo mniej więcej bywa i w innych krajach. Różnice istnieją w stopniach albo nawet w odcieniach, lecz opinji Juljusza II-go nie zadano kłamu pod żadną szerokością geograficzną.

Według światopoglądu socjalistycznego państwo powinno kierować całą działalnością gospodarczą narodu, zarówno produkcją, jak i podziałem dóbr. Gdy powiedziano państwo, to trzeba czytać posłowie, ministrowie, dyrektorowie departamentów i t. d. Lecz ludzie ci nawet w dzisiejszym ustroju, gdzie zadania ich są stosunkowo proste, popełniają wciąż bajeczne błędy. Biorąc z tego miarę, łatwo wyobrazić sobie, coby się działo w ustroju socjalistycznym, w którym rola organów państwowych byłaby stokrotnie ważniejsza i trudniejsza. O szkopuł tej drobniutkiej mądrości, która rządzi światem, rozbiłyby się plany socjalistyczne, gdyby nie istniały inne przeszkody, bardziej zasadnicze.

Ale z faktów powyższych wynika jeszcze inny wniosek, który byłby użyteczny i w dzisiejszym ustroju społecznym, mianowicie, że rządzenie krajem jest czemś wielce trudnem, a kierowanie gospodarczą działalnością narodu całkowicie przekracza granice sił ludzkich, a więc dla dobra sprawy zakres interwencyj rządowych należy ograniczyć do rzeczy niezbędnych.

Niestety taki obrót jest bardzo mało prawdopodobny. Spencer, którego pisma polityczne powinien znać każdy, kto ma najodleglejszą styczność z polityką, pisze:

„Antropolog niemiecki Bastian opowiada, że wśród tuziemców Gwinei chory, który nie przychodzi do zdrowia i tem samem zadaje kłam fetyszowi, zostaje uduszony. Wolno stąd wnioskować, że, gdyby w tym kraju znalazł się śmiałek, podający w wątpliwość potęgę fetysza, to niezwłocznie poświęconoby go na ofiarę. W dawnych czasach (dawnych rozumie się w Anglji, bo u nas w Polsce czasy takie są bardzo niedawne), gdy gwałtownemi środkami podtrzymywano autorytet rządu, było bardzo niebezpiecznie odezwać się bez należytego uszanowania o fetyszu politycznym. W naszych czasach najcięższą karę ściąga na siebie człowiek, który wątpi we wszechmoc owego fetysza. Napiętnują go mianem reakcjonisty, który śmie wspominać o **laissez - faire.** Nie można oczekiwać, aby jakiekolwiek wysunięte przez niego fakty, wyraźnie osłabiły ustaloną wiarę. Mamy codziennie dowody, że ta wiara jest opancerzona nawet przeciwko oczywistości".

Tak było pół wieku temu w Anglji. Od tego czasu nawet na tej klasycznej ziemi liberalizmu wiara w fetysza politycznego ogromnie wzrosła, a cóż dopiero mówić o Polsce, pogrążonej całkowicie w atmosferze etatyzmu rosyjsko-austrjackiego.

Zygmunt Straszewicz.

Teatry warszawskie

Pod dyrekcją Jana Lorentowicza Teatr Narodowy przechodzi okres sanacji (chociaż nie „moralnej"). Jakkolwiek nie daje nam jeszcze przedstawień pod każdym względem doskonałych, to jednak wykluczone są tam już skandale w rodzaju „Burzy" Shakespeare'a, granej z końcem ubiegłego sezonu. Wystawiany obecnie „Sen srebrny Salomei" nie jest wprawdzie spektaklem idealnym, ale daje widzowi dużo, bardzo dużo zadowolenia artystycznego. A nie należy zapominać, że niebylejakie trudności nastręcza ten „romans dramatyczny", tak znamienny dla rodzaju genjuszu Słowackiego, przepiękny, lecz jakże dziwny, łączący brutalny realizm z najzwiewniejszą poezją, krwawą makabryczność buntu hajdamackiego z subtelną liryką nastroju, w którym toczy się ta ponura akcja. Nie można się więc zbytnio dziwić, że nawet tak wytrawny reżyser, jak Teofil Trzciński, świeżo pozyskany przez dyr. Lorentowicza, niezupełnie te olbrzymie trudności pokonał i że całość nie była przeprowadzona z dostateczną konsekwencją artystyczną. Za to poszczególne role, obsadzone nieledwie elitą aktorów, zagrane były przeważnie bardzo pięknie. Wolimy wprawdzie Mieczysława Frenkla (Regimentarz) w rolach komedjowych i to w sztukach, pisanych prozą, gdzie niedostateczne pamięciowe opracowanie tekstu w mniejszy kłopot wprawia tego artystę, niż w recytacyjnych dramatach Słowackiego; ale zato czwórka asów: Brydziński (Pafnucy), Solski (Wernyhora), Leszczyński (Sawa) i Węgrzyn (Semenko) grała świetnie zarówno pod względem aktorskim, jak deklamacyjnym.

W dzisiejszych czasach, kiedy tak trudno o „dzień bez kłamstwa", Teatr Polski uznał za właściwe wznowić doskonałą komedję amerykańską Montgomery'ego pod tym tytułem, graną w ubiegłym sezonie. Wprawdzie niejeden moralista oburzy się na tezę tej wesołej sztuki, dowodzącej, że życie bez kłamstwa jest utopją, ale publiczność, rozbawiona zwłaszcza nieporównanemi kreacjami Maszyńskiego i Samborskiego, stanie niewątpliwie po stronie autora.

A teraz parę słów o „braciach rywalach". Mam na myśli teatrzyki „Perskie Oko" i Qui pro quo". Pierwsze, ulokowawszy się w nowym przybytku przy ul. Marszałkowskiej, wystąpiło z inauguracyjnym programem p. t. „Więc... zaczynamy". Ale powiada niemieckie przysłowie, że „aller Anfang ist schwer"... To też mimo zapowiedzi uroczej conferencierki, p. Macherskiej, że „Perskie Oko" będzie leczyło melancholików przy pomocy humoru, pierwsza część programu była dość nudna. Dopiero w drugiej części Lawiński, kapitalną „żydowską transpozycją" prof. Ossendowskiego rozbawił publiczność, uraczoną ponadto przemiłemi piosenkami Rentgena, pięknym tańcem sióstr Halama, dobrym skeczem „Odwagenheit" (trójka: Macherski, Tom, Boroński) i produkcjami niezawodnej Zuli Pogorzelskiej, przyjmowanemi zawsze hucznemi oklaskami.

Natomiast „quiprokpiarze" czy też „quiquoprosiaki" (jak ich nazywają w Warszawie), pokazali rewję p. t. „Kiedy panienki idą spać", naprawdę bardzo dowcipną i piękną. W dowcipie prym wiedzie oczywiście Jarosy, który jest specjalistą od conferencierki, oraz Krukowski, piastujący „referat żydowski", z pań przemiła Zimińska oraz utalentowana aktorka charakterystyczna, Buczyńska. Prawdziwą ozdobą teatrzyku jest Ordonka, której pieśniarstwo dochodzi już do maestrji. Choreografję reprezentują Parnellowie i Topolnicka, zwłaszcza zaś urodziwa Szymborówna, która z powodzeniem próbuje sił i w rolach „mówionych". To są główne filary zespołu, który potrafi się zdobywać na produkcję, nie wiele ustępujące analogicznym widowiskom paryskim. Powinien tylko zrewidować teksty niektórych piosenek, nie grzeszące zbytkiem sensu i smaku.

L. W.

ZBAWIENNY POMYSŁ

Franciszek Molnar, znany węgierski komedjopisarz, opowiada na łamach „Berliner Tageblatt“ następującą zabawną przygodę.

Przed wielu, wielu laty, jako młody dziennikarz, dostałem pewnego razu od szefa mego polecenie udania się z okazji zajmującego procesu, jako „specjalny sprawozdawca“, do jednego z miast prowincjonalnych. W pociągu przypadkowo siedziałem w tym samym przedziale ze starym adwokatem, który brał udział w procesie tym w charakterze obrońcy i również jechał na rozprawę. Ów starszy pan, jeden z najdoskonalszych obrońców w procesach karnych (później został ministrem sprawiedliwości), — był z tego znany, że miewał najlepsze t. zw. zbawienne pomysły. Opowiadał mi o zajmujących wypadkach ze swej długoletniej praktyki, zwłaszcza o tem, w jaki sposób beznadziejnym oskarżonym pomagał przez różne sprytne kruczki prawne. Na pytanie, jaki był najlepszy prawny pomysł w życiu jego, opowiedział mi następującą historję:

„Pewnego dnia zjawił się w biurze mojem dobrze wyglądający młody człowiek, który po przywitaniu począł nagle kurczowo szlochać (w praktyce mojej co drugi klient w ten sposób zaczyna rozmowę). Czekałem, aż się uspokoił. Krótko opowiedział mi swoją sprawę“.

— „Jestem urzędnikiem Banku X. Sprzeniewierzyłem sto tysięcy guldenów. Za osiem dni odbędzie się rewizja. Wtedy wykryją czyn mój, zrobią doniesienie i zamkną mnie do więzienia. Nie chcę aż do tego czasu czekać. Jestem synem uczciwej rodziny. Przed samobójstwem przychodzę do Pana. Niech mi Pan pomoże“.

— „Tu tylko jedno pomóc może“ — powiedziałem do niego. „I do tego nie potrzebuje Pan mojej pomocy. Wyznaj Pan wszystko rodzinie, aby ona pieniądze zwróciła. A Pan złoży spokojnie pieniądze do kasy, skąd Pan je skradł“.

Znowu wybuchnął płaczem.

— „Rodzina moja jest biedna. Ja ich wszystkich utrzymuję. Nie mam ani jednego zamożnego krewniaka. Jestem stracony“.

Długo spacerowałem po pokoju i łamałem sobie głowę, co w tym wypadku dałoby się zrobić. Młody człowiek zrozpaczony śledził moje kroki wzrokiem i czekał na ocalenie.

— „Spróbuję“ — rzekłem nagle, zwracając się do niego. Chciał mnie w rękę pocałować. Na to zadałem mu następujące pytanie:

— „Czy mógłby Pan sprzeniewierzyć jeszcze sto tysięcy guldenów?“

— „O tak“ — odpowiedział, spuszczając wstydliwie oczy.

— „Więc proszę, niech Pan jeszcze sto tysięcy guldenów sprzeniewierzy i przyniesie je tutaj do mnie. Co dalej będzie, zobaczymy“.

Po trzech dniach zjawił się u mnie i położył na biurku mojem sto sztuk banknotów po tysiąc guldenów.

— „Dobrze“ — powiedziałem do niego. „Zdolny z Pana człowiek. Teraz idź Pan do domu i przyjdź jutro do mnie znowu“.

Pieniądze włożyłem do kieszeni i udałem się do dyrektora banku. Zwróciłem się do niego z następującą krótką przemową:

— „Panie Dyrektorze. Kasjer Pański, pan X. Y., sprzeniewierzył z kasy Pana dwieście tysięcy guldenów. Wykaże się to w przyszłym tygodniu. Pan zrobi doniesienie na niego i każe go aresztować, a bank straci dwieście tysięcy guldenów. Krewni tego młodego człowieka są biedni. Aby jednak chłopcu pomóc, sprzedali wszystko, wyczerpali swój kredyt i z wielką biedą udało im się zebrać sto tysięcy guldenów, t. j. połowę sprzeniewierzonej sumy. Więcej było wprost niemożliwem. Pieniądze te mam oto w mojej kieszeni. Ja, jako adwokat rodziny, proponuje bankowi przyjęcie połowy skradzionych pieniędzy i zwolnienie chłopca bez podejmowania dalszych kroków przeciw niemu. Jeżeli Pan przyjmie, wtedy przecież przynajmniej połowa szkody jest pokrytą. Jeżeli Pan nie przyjmie, wtedy zwrócę rodzinie jej sto tysięcy guldenów, a bank nic nie otrzyma“.

Dyrektor przyjął propozycję bez wahania, bo też — o ile miał działać w interesie banku — nie mógł postąpić inaczej. Wziął pieniądze i zwolnił młodego człowieka.

— „Historja ta“ — zakończył stary adwokat swoje opowiadanie — „ma tylko jeden błąd, mianowicie, że jest nieprawdziwą. W ostatnim czasie nie mogę spać, a wtedy stawiam sobie nocą zawsze tak trudne zadania“.

sm.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Rozm., Olkusz. Nieporozumienie — w wypadku, który wzbudził Pański niepokój, chodzi o normalny i zawsze praktykowany zaciąg ochotniczy. Na ochotnika do służby wojskowej może zgłaszać się każdy przed osiągnięciem wieku poborowego. Chodzi o to, by właśnie tym 17, 18 i 19-letnim dać możność wcześniejszego odbycia powinności wojskowej, jeśli np. w 20-tym lub 21-szym roku chcą rozpocząć pracę zawodową, przerwanie której przez służbę wojskową mogłoby przynieść mu szkodę. Takich wypadków jest wiele i dlatego ustawodawstwo o obowiązku służby wojskowej przewiduje możliwość odbycia tej służby wcześniej, o ile kandydat zgłosi się jako ochotnik i zostanie uznany za zdolnego do odbycia służby w wieku niżej popisowego.

To nie na wojnę z Litwą werbuje ochotników D. O. K. V.

Maturzysta. Nie możemy drukować anonimowo nadesłanego artykułu — pod tym względem nie robimy żadnych wyjątków. Pozatem nie chcielibyśmy rozszerzać dyskusji w tej sprawie.

Obwieszczenie.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi na starostwo Łaskie Alojzy Gałczyński, urzędujący w Łasku ogłasza, że dnia 16 października 1926 r. od godziny 10-ej rano we wsi Żagliny, gm. Wola-Wężykowa, odbędzie się sprzedaż, przez publiczną licytację, ruchomości: 10 metrów żyta i 5 metrów desek stolarskich, należących do Antoniego Śniadego, oszacowanych na zł. 515.—

Łask, dnia 24 września 1926 r.

Komornik A. Gałczyński.



Reklamacje

P. P. Abonentów, którzy nie otrzymują regularnie „Prawdy“ prosimy o zawiadamianie administracji o każdym wypadku nieotrzymania numeru

Administracja „Prawdy“.



Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85